Miesięcznie 95 groszy
Prenumeratę przyjmuje każda poczta!

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Nowy Rok, dnia 1-go i niedziela, dnia 6 stycznia 1935 r. Nr. 1.

1 9 3 5



Przy kieliszku wina rozpoczynamy Nowy Rok,

który kusi słodkiemi obietnicami złudnych wizji i wyobrażeń...

Na fałszywym torze

(Powieść współczesna) 18.

Straszne. — Beata spojrzała na fotografję Leny. Biedna ofiara typowo kobiecej tragedji, jakich wiele. Wczuć się w sytuację takiego dziewczęcia, to zupełnie tak, jak spojrzeć na zwłoki ofiary nieprzewidzianej katastrofy. Idzie sobie takie nieszczęsne stworzenie do szkoły i — bums! — wpada pod auto pijanego kierowcy. Albo też spada na głowę gzyms starej kamienicy i gruchota czaszkę. Lena poszła do fabryki, przykrawała przy stole rękawiczki, może nawet nuciła jakąś wesołą piosenkę i cieszyła się na kino — i wpadła w oko takiemu bydlęciu, które zniszczyło jej życie. Jedna krótka chwila zapoczątkowała długą tragedję...

A teraz szarpie się biedactwo, chce zacząć życie na nowo — i nie może. Moralne więzy obezwładniły ją. Zdaje się jej, że gdy pozbędzie się dokumentów tożsamości, odrodzi się. Jak małe dziecko, które zakrywa rączkami oczy i woła: „Niema mnie! Niema mnie!" I może wkrótce już naprawdę nie będzie jej na świecie.

Czy istnieje życie pozagrobowe? Beata nie zastanawiała się od śmierci ojca nad temi kwestjami. Nie wierzyła w żadne zjawy ani duchy, mające zamiłowanie tylko do towarzyskiego życia podczas seansów spirytystycznych. To są bujdy szalbierzy, wytwory chorobliwych wyobraźni. Może gdzieś na innej planecie skupia się energja człowiecza, emanowana przez całe jego życie — i po śmierci ciała zaczyna wpływać w ujemny lub dodatni sposób na losy osób najbliższych, pozostałych przy życiu, zależnie od tego, jak żył i działał dany człowiek. Energja ta wraca może na świat i wstępuje w inne ciało, aby się wzmocnić, poprawić, udoskonalić. Ale ani nasz umysł, ani siła biednych pięciu zmysłów nie potrafią jeszcze tych prawd odsłonić ani opanować.

Jak postąpić ze zleceniem Leny? Nie, nie zawiadomi o niczem władz. Zwłaszcza, że od wyjazdu tej biedaczki z Wiednia minęło już więcej, jak dwa tygodnie, a nic nie wskazywało na to, że ją śledzono. Najwidoczniej jej kat wolał zamilczeć o stracie ,aniżeli doprowadzić do skandalu. Może nawet ujawnienie tego romansu naraziłoby go na rozwód z żoną i zwrot posagu?

Także przed mężem zamilczy o losie Leny. Zacząłby czynić jej wymówki, że zawiera lekkomyślnie znajomości, że mogła go skompromitować i t. d. Gdy będą we Wiedniu, pójdzie do sklepu tego pana i odda mu pieniądze. Powie poprostu, że spotkała pannę Molle w Dalmacji, że ta pojechała do Afryki i prosiła ją, aby zwróciła mu dług za partję zakupionych rękawiczek. Brak kilkuset szylingów uzupełni z własnej kieszeni — i wszystko będzie w porządku.

Beata westchnęła. Jak bardzo żal jej Leny! Nie może myśleć o niej jako o przestępczyni, o defraudantce. Nieszczęsna, wydziedziczona istota — ofiara własnej naiwności. Nie umiała wziąć się z losem za bary.

Która to godzina? Co?! Piąta! Beata postanowiła zrezygnować już z plaży. Zapóźno. Coby tu począć z czasem? Może pójść na dłuższą przechadzkę? — Nie, dosyć na dzisiaj samotności. Postanowiła iść do kawiarni na koncert podwieczorkowy. Przeglądnie dzienniki z kraju, posłucha muzyki. Musi przestać myśleć o losie Leny. Nic już biedaczce nie pomoże. To zbyt wstrząsające, a jej potrzebna jest teraz wielka siła nerwów.

Wstała, paszport Leny i pieniądze ukryła na piersiach i zeszła nad morze. Wyrzuciła białe cząsteczki spowiedzi swej biednej przyjaciółki na wodę modrą i przejrzystą. Morze pomrukiwało do niej rozwartemi wargami fal, śmiało się pianą białych zębów. Wreszcie pochłonęło łakomą, dyskretną paszczą tajemnicę tak codzienną i zawsze nową, ono samo.

Biały, rozgrzany żwir alei skrzypiał pod jej sandałami, jak wczoraj, zanim do własnych smutków przybyło cudze. Pozornie nic się nie zmieniło — tylko serce Beaty obciążył lęk przeczucia, że tam gdzieś, może dzisiaj i blisko, a może jutro lub pojutrze i daleko na śmierć gotuje się młode, złamane życie.

Beata wypiła w kawiarni aromatyczną turecką kawę i pogłębiła się w czytaniu gazet. Oho, — tam w kraju istna marcowa pogoda zatruwa ludziom czerwiec. A tutaj nie kazi przejrzystości nieba ani jedna chmurka. Słońce pieści ziemię namiętnemi pocałunkami, wysysa z niej wszystkie soki, a tylko morze i noc dają schron przed jego upartym żarem. Cóż to za mężczyzna, który siedzi o kilka stolików dalej? Kłania się — wreszcie wstaje i podchodzi. Znajoma twarz — kto to być może? — Aha, to ten Wiedeńczyk z kąpieli!

— Całuję rączki. Dlaczego nie na plaży? Właśnie wróciłem z wycieczki do Błękitnej Groty. Wspaniałe zjawisko, doprawdy. Nawet grota na Capri nie może porównać się z tutejszą.

— Owszem, i ja byłam zachwycona srebrzysto seledynowym odcieniem światła i wody w grocie. Kąpaliśmy się tam nawet. Ciała wyglądają w wodzie, jak wykute ze srebra.

— Łaskawa pani sama?

— Mąż popłynął kajakiem.

— A gdzie urocza towarzyszka pani?

W tej chwili przypomniała sobie Beata przerażenie biednej Leny, wywołane słowem „policja". Zrozumiała. Biedaczka sądziła, że to jakiś urzędowy prześladowca. Kto wie... może miała rację? W takim razie co mu odpowiedzieć?

Myśli te przemknęły lotem błyskawicy przez rozigrany jej mózg. Chciała zyskać czas do namysłu i podniosła filiżankę z resztką czarnej kawy do ust, udając, że pije. Wreszcie odparła z pozornym spokojem:

— Pyta pan o pannę Molle? Wyjechała do Węgier do chorej matki. Stamtąd wróci wprost do Wiednia. Tak mnie przynajmniej poinformowała.

— Wyjechała? Szkoda! — rzekł ze szczerem rozczarowaniem w głosie. Nie, to było powiedziane bez ubocznych zamiarów... — Przyznam się pani, że mi się to dziewczątko bardzo podobało. Taki śliczny, łagodny typ, a przytem taka skromna... Obserwowałem ją z prawdziwą przyjemnością. To nie dzisiejsza kobieta. Ma w sobie coś z dawnych, romantycznych postaci. Widzi pani — taki już los, że gdy napotyka się na swój typ wymarzony, to albo znika z oczu, albo — już jest zapóźno. Chciałbym zobaczyć jeszcze pannę Molle we Wiedniu...

— Dałby Bóg — westchnęła mimowoli Beata.

— Dziękuję! Czy nie mógłbym się dowiedzieć od łaskawej pani o jej adresie?

— Mam zanotowany w domu. Ale gdybyśmy się już nie spotkali, bo zapewne jutro wyjeżdżamy, to proszę poinformować się co do adresu panny Molle u portjera w hotelu.

— Racja, nie pomyślałem o tem. Nie chciałem pani bynajmniej trudzić.

— Nie szkodzi!

— Zatem dowidzenia. Przepraszam za śmiałość i życzę szczęśliwej podróży! — Ukłonił się i powrócił do swojego stolika.

Jak ten partacz los układa życie! Poprostu nieudolny reżyser. Kto wie, czy ta biedna Lena w poczuciu swej winy nie rozminęła się ze szczęściem. Bo to rzeczywiście bardzo sympatyczny i piękny chłopiec. Tyle ma w sobie werwy i dziecinnej świeżości — rozważała Beata.

Zagłębiła się znowu w gazecie. Jak wiele kobiet, nie interesowała się polityką wewnętrzną ze specjalnem zamiłowaniem. Na wszystkie systemy uzdrowienia chorych organizmów państwowych, na kombinacje i machinacje polityczne, zapatrywała się jak na bluff karjerowiczów i spryciarzy. Zajmowała ją tylko polityka międzynarodowa. Nie orjentowała się jednak dostatecznie w zakulisowych sprawach, aby móc przejrzeć sens tego, czy innego posunięcia.

— Beato, gdzieżeś ty była dotychczas? Szukam cię wszędzie!

Roman. Może widział ją rozmawiającą z tym doktorem Wessely. Ładna historja! Znowu czeka ją miłe przejście! Aż ją ciarki przechodzą. A może nie widział?...

— O cóż ci chodzi? Niepokoiłeś się może o mnie? — zapytała nadąsana. Roman usiadł koło niej, wpatrując się w nią bacznie. Nie zapomniała jego obelżywego traktowania podczas obiadu. Wszak nie może przejść nad tem tak prędko do porządku dziennego.

— Naturalnie, że byłem niespokojny, — rzekł, odwracając głowę.

— Byłam na górze w parku, a od piątej siedzę tutaj.

— Sama?

— Sama.

— A kto był ten pan, z którym przed chwilą rozmawiałaś?

— Aha. Zaczyna się. Ale teraz nie pójdzie mu tak gładko. Ząb za ząb. Ma już dosyć roli dręczonej ofiary.

— To był pewien Wiedeńczyk, którego poznałyśmy z Leną w południe na plaży. Pytał się o nią. Powiedziałam mu, że wyjechała niespodziewanie, co jest prawdą. Lecz teraz — rzekła ostro — zapowiadam ci, że już mam dosyć tej indagacji. Ostatni raz tłumaczę się przed tobą. Ale to zbyt pouczające. Musisz sobie uprzytomnić, że nie jesteś sędzią śledczym, ani ja przestępcą. Wypraszam sobie tego rodzaju badania bez powodu, zrozumiałeś? — zawołała podniesionym głosem.

— Hahaha! Co za perfidja! Przyłapuję cię na jawnym flircie z jakimś gagatkiem, poznanym za mojemi plecyma, a ty śmiesz jeszcze uderzać w taki ton?! Teraz już wiem, dlaczego proponowałaś mi dzisiaj podróż do Wiednia! Już umówiliście się, że się tam spotkacie! No, no, ładnie wyglądam w trzy miesiące po ślubie! Oto następstwa lekkomyślnego ożenku. A ja, głupiec, pluję sobie w gębę i czynię gorzkie wyrzuty, że zadręczam ją niewinnie! — Teraz wiem, że przemawia przezemnie właściwa intuicja niebezpieczeństwa. Instynktownie poznałem się na tobie, że jesteś ostatnią...

— Romku!!! — przerwała blada i drżąca. — Jeszcze słowo, a doprowadzisz mnie do ostateczności!!!

— Nie groź!

— Nie grożę — lecz zapowiadam ci stanowczo i przysięgam, że dotrzymam słowo, że jeżeli raz jeszcze odważysz się przemówić do mnie tym tonem, to albo będziesz musiał zwrócić mi wolność — albo — —

— Albo?

Skończę ze sobą. Nie myślę kontynuować takiego życia z człowiekiem anormalnym, jak ty. Gwiżdżę na stanowisko twojej żony, na twój majątek, na tytuł księżnej Pomireckiej. Pragnę być wolnym, szanowanym człowiekiem!

Wstała. Szybko odeszła w stronę budynku hotelowego. Usłyszała za sobą kroki i wołanie:

— Beato!

— Słucham!

— Beato! — Dogonił ją, chwycił za rękę. Z pobladłej twarzy wyzierała rozpacz skazańca przed wykonaniem wyroku.

— Beato, przebacz mi. Zawiniłem — wiem o tem.

— Nie. Takich słów nie przebacza się tak łatwo. Dosyć długo uwzględniałam stan twoich nerwów. Teraz muszę mieć na względzie także moje nerwy i zdrowie, skoro nie mogę znaleźć opieki ani moralnego oparcia we własnym mężu.

— Więc cóż mam uczynić, abyś zapomniała o tem zajściu?

— Pozostaw mnie w spokoju do jutra. Może sen przyniesie radę i ulgę. A jutro musimy jechać bezwzględnie do Wiednia. Zasięgniesz porady psychjatry i poddasz się stanowczo jego zarządzeniom.

— Dobrze. Uczynię, jak zechcesz. — Ukłonił się oficjalnie i odszedł wolnym krokiem w przeciwną stronę.

Beata poczuła równocześnie triumf i — żal. Uprzytomniła sobie, że pożycie z Romanem jest teraz ciężką próbą, tem cięższą, że jego autorytet blednie i zatraca się. Roman przestaje jej imponować jako człowiek... Zaczyna widzieć całą jego małość, odczuwać niekonsekwencję i słabość.

— Nie będę mogła patrzeć na niego jako na istotę przewyższającą mnie. Zacznie się przykry okres spoglądania na męża zgóry. Mama zawsze mówiła, że to już kres... Nareszcie zdobyłam się wobec niego na ton właściwy — myślała z goryczą, idąc w stronę klasztoru. — Zdaje mi się, że jestem w sytuacji dzikiego tresowanego zwierzęcia w klatce, zbuntowanego poraz pierwszy przeciw pogromcy, który poczuł trwogę przed błyskiem groźnie wyszczerzonych zębów. Czy to ma być szczęśliwe pożycie małżeńskie, o jakiem zawsze marzyłam? I cóż przyjdzie z roztkliwiania się nad sobą samą? Raczej należy opancerzyć się wewnętrzną ciszą i milczeniem, nie dopuścić żadnych wpływów z zewnątrz do samowystarczalności ducha.

Ryszard. — Skąd nagle to wspomnienie? Prawda — pisała Jasia, że on odzyskuje wolność. Jak cudowne, jak rozkosznie szczęśliwe byłoby pożycie z jej jedynym człowiekiem... Pobyt z nim razem tutaj, w tem uroczem ustroniu — byłby szczęściem, którego niepodobna objąć najbardziej rozigraną wyobraźnią. Każdy jego uśmiech, akcentowanie słów, jego szlachetny, wytworny profil, czarujący sposób żartowania, przypomniały się jej z uchwytną wyrazistością. Czyż to możliwe, że napawanie się urokiem jego osobowości przysługiwało jej niegdyś jako prawo, jako własność, z której mogła czerpać dowoli? Krew rozgorzała żarem na wspomnienie jego pieszczot i pocałunków, zmysłowych i subtelnych zarazem, tkliwych i nienasyconych.

Ale to już nie wróci... Musi oswoić się z tą myślą, powtarzać ją tak długo, aż uwierzy — choćby ból stawał się nie do zniesienia. Jutro wyjadą z Romanem do Wiednia. Ma tam do spełnienia dwa ważne zadania: załatwienie sprawy Leny i starania, aby pożycie z Romanem uczynić jeżeli już nie szczęśliwem, to bodaj znośnem. Trudno — nie jest jedyną kobietą, którą spotkał zawód w małżeństwie. A gdy Roman wyleczy się z tej chorobliwej zazdrości, postara się przywiązaniem i dobrą wolą zastąpić mu brak miłości. Może będzie miała dziecko, którego ukochanie i troska o wychowanie zapełnią pustkę w sercu?

Słońce wydawało się senne i znużone. Spieszyło mu się na zachód, na spoczynek po znojnym trudzie dnia. Złote smugi słonecznej tuszy pląsały po powierzchni fal, rozbryzgiwały się rozbłopioną światłością. Zawzięcie i uporczywie uderzały wały wód o wybrzeże. Biel piany podskakiwała puszystemi kulami, rozpłaszczającemi się w jasne płaty po uderzeniach o powierzchnię szklistej wody. Szum morza zlewał się z szemraniem liści w zagajnikach figowych.

Uspokojona i pogodzona z losem wróciła Beata do hotelu.

— — —

Samolot zatoczył planowy łuk i lekko jak gigantyczny motyl wzniósł się w górę. Szum motoru i skrzydeł śpiewał ziemi pieśń pożegnalną. Roman poczuł się w swoim żywiole. Zespolił się z motorem w jedną nierozerwalną, niemal organiczną całość.

W dole falował tryskający wszystkiemi odcieniami zieleni krajobraz Chorwacji, przecięty kapryśną srebrną pręgą Sawy. Wieże Zagrzebia otuliły się w sine opary. Barwy i blaski dachów i murów, zanikały, pogrążały się w oddaleniu.

— Wygodnie ci? — zapytał Roman siedzącej obok niego Beaty. Nie odezwała się ani słowem. Odwróciła swą śliczną, różowo złotą twarz w zawziętym, dumnym uporze.

— Beato — pytam, czy ci wygodnie? — starał się przekrzyczeć łoskot motoru. Milczenie. Więc była aż tak zawzięta?

Powinna przecież wiedzieć, że jestem bezwolną igraszką zazdrości. Przyznaję i powtarzałem jej to, że nie chcę jej dręczyć, a jednak muszę. Wiem, że jest prawa, czysta i niewinna — myślał z rozpaczą. — Ale boję się — boję, aby nie odrzuciła się ode mnie. Zdaję sobie z tego sprawę, że takie ustawiczne tarcia nie pielęgnują uczucia. Czy też ona miała je kiedykolwiek dla mnie? Zaczynam w to wątpić. W takim razie dlaczego zgodziła się zostać moją żoną? Nie dla korzyści materjalnych. Znam ją zbyt dobrze. Zatem — chciała zapomnieć o innym. O kim? O Goreyce, to jasne. A ja miałem być środkiem do celu.

Spojrzał na wysokościomierz. Trzeba lot obniżyć. Lecą stanowczo za wysoko.

Dlaczego dalem się dzisiaj porwać znowu tej nieszczęsnej pasji? Czułem, że ta scena przepełni miarkę, a jednak... To ohydne, do jakich słów zdolny jestem w tem okropnem zamroczeniu umysłu! Wszystko o te kwiaty. Beata napewno nie kłamała, mówiąc, że są od dyrektora hotelu. Lecz mogła podziękować mu za nie w mojej obecności, skoro ją o to prosiłem. Nie chciała. „Musisz wierzyć mi bez takich prób i podstępów. Wymagam tego, słyszysz? — rzekła z twardą powagą. — Nie zgodzisz się na to — to postaw sprawę jasno. Bez zaufania niepodobna żyć ze sobą, ani obok siebie. Proszę cię — zwróć mi wolność!"

Więc do tego już zdołał doprowadzić. Nie uwolni jej, to sama odejdzie. Zna ją przecież. Zapowiedziała, że tak zrobi i dotrzyma słowa!

A Goreyko będzie wolny — i może spotkają się — i znajdą wreszcie — Na Boga!! Nigdy nie dopuści do tego! Raczej — raczej — wspólna — śmierć...

Więc może — teraz, odrazu? Jedno małe niedopatrzenie, nieznaczna nieostrożność — katastrofa samolotowa — i zginą razem. Nikt nie dostanie jego Beaty. Jeżeli jednak zabije się tylko jedno z nich, a drugie będzie kaleką? Prasa roztrąbi wiadomość... Domysły, sensacja, skandal...

Skieruje aparat nad morze. Zastanowi motor — i utoną. Śmierć pewna, cicha, nie wymagająca komentarzy. Lecz może żeby nie rezygnować bez próby naprawienia błędów popełnionych? Jak chętnie zacząłby walczyć ze sobą, ze swoim obłędem, aby tylko ją odzyskać...

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Na łasce

(Powieść) 18)

Litość dla biednej, opuszczonej sieroty, którą wszyscy pogardzają, poniewierają... nic, tylko litość... A może... a może... on ją bałamuci? Natalja mówiła...

Nagle, myśl straszna strzeliła jej do głowy! a ta miłość, o której jej wspominał? to przywiązanie, które stanęło na zawadzie staraniu się o Kamillę? którą z nich, on zdradza, on? nie! to niepodobna! Roman zdradzać nie może, nie umie, nie jest zdolny... jedno tylko przypuścić można: litość podyktowała mu czułe wczorajsze wyrazy...

Janina wyskoczyła z łóżka i uchwyciwszy się za głowę, zaczęła biegać po pokoju.

Dzień się już robił, cudowny letni dzień, wstawał cicho rozkosznie, pośród woni kwiatów, błyszczących rosy na drzewach i murawie... Lekkie różowe chmurki przebiegały szybko po błękicie, śpiesząc gdzieś daleko, w tajemniczą krainę, z radosną zapowiedzią, że słońce wnet wstanie.

Janina otworzyła okno i wzburzona udręczona, znowu modlić się zaczęła...

Modlitwa i łzy grube, spływające zwolna po twarzy, ulgę jej zrobiły. Skarżyła się Bogu, że jest samą na świecie, że nie ma nikogo o radę, pomoc, uspokojenie poprosić — i oto, modląc się, przypomniała sobie, że jest niedaleko pewna, zacna, a życzliwa jej dusza, której doświadczenie wesprzeć ją potrafi... Tak! jak się tylko rozwidni, ona pobiegnie do panny Olimpji — w szkolnym domku wcześnie wstawano do pracy! a potem... potem, musi rozmówić się z Romanem...

Zdziwiona była służba, gdy panienka ich dziś wcześniej jak zwykle pobudziła, ubrana zupełnie — powydawała ze spiżarni i zadysponowała obiad.

O pół do szóstej już była u panny Olimpji.

Zacna przyjaciółka serdecznie wysłuchała zwierzeń młodej dziewczyny i serdecznie także z nią się spłakała... Żal jej było mimowolnie biednego Władzia...

— Jakąż radę mogę ci dać, drogie dziecko? — zakończyła. — O ile znam pana Bronimirskiego, wiem, że jest prawy i szlachetny... oszukiwaćby ciebie nie chciał. To jedno tylko sobie pamiętaj, żeby nie poddawać się nadto uczuciu, które tak potężne — jak uważam, zajęło miejsce w twojem sercu... Kto wie co się stać może! gdyby jaka zmiana w nim nastąpiła, powinnaś się pilnować żeby mieć dość siły na zniesienie zawodu... Niech cię Bóg prowadzi, drogie dziecko! niech ci da szczęście, którego jesteś warta!...

Pokrzepiona nieco, nie tyle słowami co współczuciem i serdecznością panny Olimpji, zawróciła się Janina w drogę z powrotem do domu. Zmęczona była wszystkiemi wrażeniami od wczoraj i bezsenną nocą, tak zmęczona, że sił jej brakło. Ale ławek dużo było w parku, więc przysiadła na jednej z nich i oparła znużoną głowę o stojące po za nią drzewo. Myślała nad tem, kiedy zobaczy Romana, i czy go dzisiaj zobaczy?... może chory?... broń Boże!... to by straszne było, najstraszniejsze...

Godzina była wczesna; ósma dopiero. W Żarnkach wstawano późno, hrabina koło dziesiątej dopiero schodziła na śniadanie, miała więc czas biedna Janina oddawać się smutnym swoim rozmyślaniom. Jakże jej się rzadko zdarzało siedzieć tak bezczynnie jak w tej chwili! właściwie i dziś czasu nie miała... powinna dozorować smarzenia konfitur, ale mniejsza o to! Tu tak pięknie, a ona taka zmęczona, że myśleć już nawet nie może...

Nagle... czy jej się zdawało? wysoka jakaś męska postać przemknęła między drzewami, dążąc w tą stronę... Czy być może, żeby to był Roman?

Boże, to on! serce Janiny silniej zabiło i poczuła w sobie moc dziwną... zniknęło od razu zmęczenie i osłabienie. Wybiegła z za drzew na jego spotkanie, zarumieniona, z błyszczącemi oczyma.

— Pan!... to pan!... — zawołała wyciągając obie ręce, szczęściem nagłem przejęta, że widzi go zdrowym.

Przyciągnął ją za ręce, które przycisnął do piersi i utonął długiem, pełnem niepowściąganego już uczucia spojrzeniem, w jej oczach.

— Żałuję teraz, — rzekł miękkim, głębokim tonem, — żem pierwej nie rozbił sobie głowy... wcześniej miałbym to szczęście, do którego tak tęskniłem...

Ona już się upamiętała po pierwszem uniesieniu i mieniła się pod jego wzrokiem.

— Nie boli... ta głowa biedna? — spytała cicho.

— Przestała... kiedym panią zobaczył, — odrzekł zawsze tym samym tonem. — Szukam pani od godziny... Czułem, że pani gdzieś tutaj znajdować się musi...

— Byłam u panny Olimpji... — odparła i szła zwolna do opuszczonej przed chwilą ławki. — Chce pan usiąść na chwilę? — dodała nieśmiało.

Tak bardzo była onieśmielona, że głos jej drżał a oczy trzymała spuszczone do ziemi.

— Czemuś taka przestraszona, moja najdroższa?... — rzekł i chciał przygarnąć do siebie, jak skarb drogi, ale ona cofnęła się i podniosła smutne oczy z wymowną prośbą, jak wczoraj.

— Moje szczęście... — szepnął i w upojeniu złożył ręce jak w modlitwie.

Janina usiadła i przetarła oczy dłonią i westchnienie głębokie z piersi jej uleciało.

— Więc to prawda?... to nie był sen, wszystko co wczoraj przeżyłam?...

Roman zabrał miejsce obok niej i zaczął mówić. Opowiedział jej wszystko; swoje zrażenie do kobiet — nie wyjawił jednak nazwiska tej, która była tego przyczyną — swoją niewiarę, początek uczucia dla Janiny, który starał się zwalczyć szydząc sam z siebie i z drugich, próby na jakie ją narażał, męki własne i katusze... wszystko.

— Co ja przeszedłem, co przecierpiałem przez ten rok cały!... poznałem wszystkie uczucia dodatnie i ujemne, jakich tylko człowiek doznać może... i czekałem ciągle, czy twoje serce nakłoni się ku mnie...

Serce Janiny rozpływało się w szczęściu, o jakiem dotychczas pojęcia nie miała... zdawało jej się, że została nagle przeniesioną z Żarnek w kraj inny, rozkoszny, nie z tego świata...

— Ja... ja? — szeptała, — takiego szczęścia dostąpiłam?... czyżem go warta, Boże mój!

Nie myślała w tej chwili o żadnych ziemskich rzeczach, nie przyszło jej do głowy, że on pan wielki, bogaty, a ona biedna... ona tylko radowała się tem uczuciem potężnem, które mówiło do niej z jego oczu i duszę jej pociągało.



Do Londynu przybyła ostatnio grupa „piękności“ birbańskiej, wywołując ogólne zainteresowanie. Birma to kraj w Indjach, znajdujący się pod protektoratem angielskim 613126 km kw i 13 milj. mieszkańców).

Nieśmiało, delikatnie ujął jej rękę, prosząc o pozwolenie oczyma...

— Nie broń mi tej pieszczoty... — błagał. — Gdybyś wiedziała jak jestem jej spragniony, jak wytrwale i mężnie odmawiałem jej sobie... Byłaś okrutną dla mnie nieraz, pamiętasz? — dodał z uśmiechem, pochylając się ku niej. — Tak się bałem nieraz, że nienawiść będzie jedynem uczuciem na jakie zasłużę... Powiedz mi, powiedz, najdroższa moja, marzenie moje!... powiedz, że kochasz tego wroga; że pragniesz być mojem szczęściem, moją żoną!...

Pochyliła głowę nisko na piersi, bo palił ją płomień jego spojrzenia... Pragnęła także mówić, mówić długo, zadawać pytania... ale nie mogła się zdobyć na słowa! Potężna wiara w prawość tego człowieka przejmowała ją do głębi duszy, a miłość parła całą jej istotę ku niemu.

— Jeżeli pan zechcesz... — rzekła tak drżącym od wzruszenia głosem, że prawie niewyraźnie, — będziesz miał... żonę... która ciebie nad życie kocha...

Pochylił czoło i oczy zakrył sobie jej dłonią. Siedział tak długo skupiony w sobie, hamując gwałtowne uczucia gotowe wybuchnąć. Kto by miał mu za złe, jeżeli by pochwycił w objęcia swoją narzeczoną i okrył pocałunkami? a jednak tego nie uczynił; była mu świętą... Gdy po długiej chwili podniósł głowę, w zamglonych oczach znać było ślady walki, którą stoczył, ale rysy szlachetnym wyrazem opromieniały.

— Nie będziemy długo zwlekać z upragnioną chwilą, prawda, moja Janinko? — rzekł, starając się mówić spokojnym głosem.

Janina się wstrząsnęła i spojrzała na niego trwożnie.

— Ach!... ciotka pana!... ojciec!... — zawołała, przypominając sobie nagle, że nie ich dwoje samych tylko było na świecie.

Roman uśmiechnął się rzewnie i delikatnie położył rękę na jej ramieniu, ruchem opiekuńczym.

— Niech się moja narzeczona tem nie troszczy — rzekł poważnie. — Ja sam biorę na siebie wszystkie kłopoty... Twoją rolą na teraz jest być zupełnie szczęśliwą i spokojną... obiecujesz mi, że nią będziesz?

— Nie! — rzekła po raz pierwszy od tej rozmowy trochę swobodniej. — Nie chcę, żeby kłopoty waliły się na pana... nie będę wtedy ani spokojną, ani szczęśliwą.

— Anielska istota moja!... — szepnął tonąc oczami w jej oczach. — Och, jak ciebie kocham! jak kocham, bez pamięci...

Chwycił się za głowę i mimowolny wyraz bólu zmienił mu rysy.

— Boże mój! — zawołała Janina z trwogą, — pan cierpi... i nic nie mówi!... Panie Romanie! — dodała pieszczotliwie, nadając mu po raz pierwszy w życiu tę nazwę.

— Nie, nie... to przejdzie... — mówił z wysileniem. Chłodną jej dłoń przyłożył do czoła i siedział z zamkniętemi oczyma, a ona drżała, czując pod ręką mocno bijące pulsa...

— Pan pójdziesz do swego pokoju, położy się pan... prawda! ja przyszlę lodu... będzie pan przykładać? obiecuje mi pan... niech mi pan przyrzeknie!... ja taka nieszczęśliwa będę...

Mówiła prawie przez łzy, pochylona nad nim, przykładając jedną to drugą rękę do jego czoła, w miarę jak ona stawała się gorącą od rozpalonej głowy; czyniła to z prostotą, naturalnie przychodząc mu z pomocą, jaką dać mogła w tej chwili.

— Obiecuję wszystko, — szepnął, — wyrzeknę się twego widoku na dzień cały, będę przykładał lód — a nawet rozżarzone węgle — byleś była spokojną... skarbie mój złoty... Mnie nic nie jest, nic nie będzie... silna migrena, nic więcej!...

— Może pan wstać? lepiej panu?...

Wstał i chociaż widocznie głowa szalenie go bolała, zapóźniał się z pożegnaniem z Janiną; trudno mu było rozstać się z nią! aż ona wyrwała się z namiętnych jego uścisków i pobiegła naprzód...

Przed domem spotkała przechadzającego się księcia i pobiegła do niego.

— Niech pan weźmie w opiekę pana Romana! — rzekła szybko, z dziwną śmiałością, zapominając, że on książę, pamiętając tylko, że jest przyjacielem Romana, — on tu idzie... niech mu pan każe się położyć... chory jest!... Ja natychmiast przyszlę lodu na okłady... Przepraszam księcia! — dodała nagle składając ręce, onieśmielona, przestraszona tonem i słowami własnemi.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko; — odrzekł książę z dobrocią. — Roman niepotrzebnie wychodził tak rano... mówiłem mu. Ale nie obawiaj się pani! będę go pilnował.

Roman ukazał się na zakręcie ścieżki, więc pobiegła prędko po lód.

Wszyscy w domu mocno zaniepokojeni zostali wiadomością przyniesioną przez księcia, że Roman nie wyjdzie dziś ze swego pokoju. Hrabina sama poszła do kuzyna, pytając czy doktora nie wezwać. Ale Roman uspokoił obawy ciotki, mówiąc, że ma tylko silną migrenę i nic więcej nie potrzebuje, prócz spoczynku. Jednak wszyscy byli porwarzeni tym wypadkiem, a najwięcej Natalja, która nie miała siły zapanować nad swoim niepokojem i nie mogąc otwarcie wyznać co jej brakuje, była w najfatalniejszym humorze, niecierpliwiła się o lada co, maltretowała wszystkich, a najbardziej Janinę, której przy każdem spotkaniu musiała jakąś słodko-złośliwą zrobić uwagę.

Ta ostatnia, najbardziej zaniepokojona i najgoręcej zainteresowana w tej sprawie, znosiła wszelkie pociski w milczeniu, spełniała swoje obowiązki ze zwykłą pilnością, spokojna napozór i obojętna.

Wieczorem, wszyscy obecni zgromadzili się w salonie; nudna atmosfera panowała. Natalja drożyła się z Alfredem Walickim, który wykładał jej swoje teorje abstrakcyjno-pesymistyczne, Kamilla w towarzystwie Stanisława Walickiego przechadzała się po pokoju, hrabina ciągnęła pasjans, a Janina, która już skończyła ornat, w milczeniu i skupieniu wyszywała zawiły deseń na szarym aksamicie jedwabiami. Z obcych nie było dziś nikogo, nawet Kręckiego.

— Szczególna rzecz jak nam Romana brakuje! — ozwała się hrabina. — Widać jak umie ożywić towarzystwo, kiedy dziś bez niego tak nudno...

— Zdaje mi się, mamo, — rzekła Kamilla, zatrzymując się na środku pokoju, — że to nie dla tego nudno, że on nas dotychczas ożywiał, tylko, że jesteśmy niespokojni o niego...

— No! niespokojni... byłam tam przed chwilą i mówił mi, że mu lepiej, — dodała hrabina. — Dzięki Bogu skończy się tylko na migrenie.

— Możeby nam panna Janina coś zagrała? — odezwała się nagle Natalja, przeczuwając, że dokuczy tem młodej dziewczynie.

— Grać? — rzekła Janina, podnosząc głowę od roboty, — ależ nie wiem... czy to panu Bronimirskiemu przykrości nie zrobi...

— Pokój Romana nie tak blisko, — wtrąciła pani Żarnowiecka, — troska twoja nie na miejscu. Kiedy nie mamy do czego ochoty zawsze się znajdzie wymówka.

Bez słowa odpowiedzi, blada, wzburzona usiadła Janina do fortepianu; wybierała jednak same śpiewne, nie hałaśliwe utwory: preludjum Szopena, romans Rubinsteina... to co grała Romanowi, gdy był w Żarnkach owego pamiętnego dnia, zeszłej zimy.

Przez drzwi otwarte do sieni, wsunął się cicho książę i kołując zręcznie, usiadł przy fortepianie koło Janiny.

— Jest ktoś, — mówił do niej cicho, — który poznał rękę pani i wdzięczny jest za tę muzykę...

— Nie drażni go?... — szepnęła, — a ja się tak obawiałam... kazali mi grać!...

— Mówi, że łączy go to z panią, że odczuwa pani obecność... do której mu tęskno, szalenie tęskno!...

— Książę wie...

Fałszywa nuta zadrgała pod drżącemi palcami Janiny.

— Wiem wszystko... jestem starym jego powiernikiem i doradcą... Jesteś prawdziwie, gorąco kochaną... Bądź dobrej myśli, dziecko drogie. Jemu nic nie grozi, usypia marząc przy twojej muzyce... myśląc o tobie.

Odszedł, przysiadł się do pani Żarnowieckiej i rozpoczął z nią rozmowę.

Kiedy rozchodzono się na noc, Kamilla zarzuciła Janinie rękę na szyję, szepcząc z cicha żeby do niej natychmiast przyszła.

Janina była nieco zaniepokojoną, bo Kamilla wydała jej się jakaś nienaturalna... co się stać mogło? może o Romanie jaka wiadomość, ależ książę nie byłby jej uspakajał daremnie.

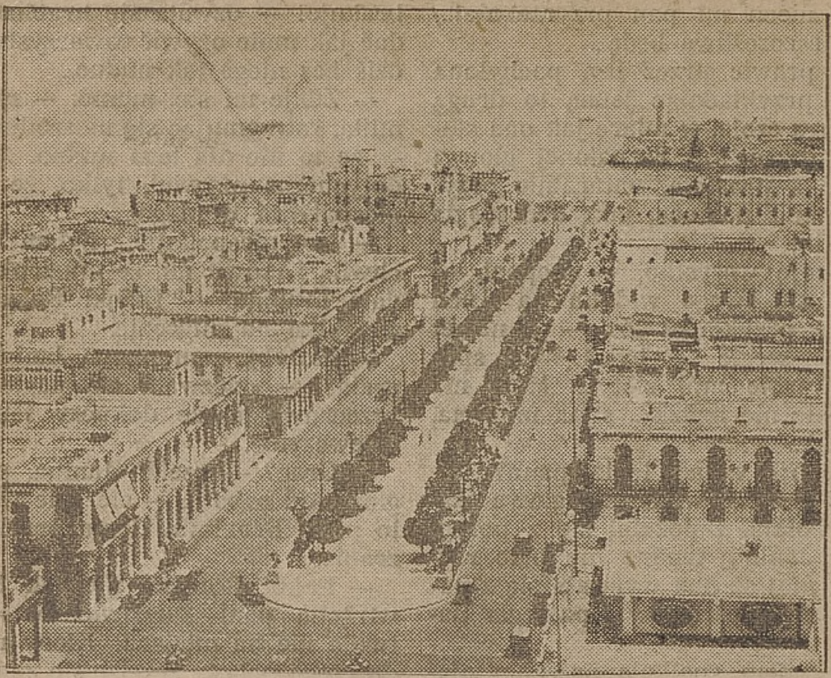
Szła już do Kamilli gdy spotkała ją w drodze.

— Wolę pójść do ciebie — rzekła — będzie tam spokojniej i wygodniej. Mama jeszcze nie śpi.

Wbiegła pierwsza do pokoju Janiny i obracając się żywo, rzuciła jej się na szyję.

— Oświadczył mi się... — szepnęła głosem drżącym rozrzewnieniem i radością — Staś Walicki mi się oświadczył.

Janina serdecznie ją uścisnęła, spodziewała się tego, a teraz widząc radość



W Hawannie, stolicy wyspy Kuby (republika samodzielna, znajdująca się pod protektoratem Stanów Zjednoczonych), dokonano w ostatnich dniach 40 zamachów bombowych. Należy się liczyć z wybuchem nowej rewolucji. Powyżej główna ulica w Hawannie, w głębi port.

Kamilli, i ona także szczerze się cieszyła, widząc ją tak wzruszoną.

— Dziś się to stało? — pytała.

— Tak, przed chwilą, przy twojej muzyce... za którą wdzięczni jesteśmy tobie oboje... On mówi, że mnie już dawno kochał, tylko zbliżać się nie śmiał, bo podobno... mam reputację że lubię dawać koszyki...

— A ty, droga moja..., ty go kochasz? Kamilla ukryła twarz zaczerwienioną na ramieniu przyjaciółki.

— Wstydzę się sama siebie... szepnęła — ale zdaje mi się, że dopiero teraz poznaję, co to jest miłość...

Janina wiedziała czemu ona to mówi... myślała o Kazimierzu! Ach o tego Janina była całkiem spokojna!

Rozmawiały długo, serdecznie jak siostry; Kamilla była rozmarzona, opowiadając przyjaciółce szczegóły różne, tyczące się Stanisława, wychwalała go i podziwiała... zakochaną była widocznie ale w jak inny sposób niż Janina w Romanie! Kamilla rozpatrywała głośno rysy ukochanego, podziwiała ogładę jego i dowcip, rozrzewniała się, mówiąc o jego wytrwałej stałości, z którą czekał cierpliwie, aż jej znudzi się życie wielkoświatowe, otoczenie wielbicielami i konkurentami...

Janina zaś, kochała w Romanie jego dobroć i szlachetność, nie przykładając wagi do powierzchowności, kochała go za to, że posiadał wzniosłe serce, nie ograniczające się do zwracania uwagi na najbliższe tylko otoczenie, ale schylił się aż do niej, do biednej, nie mającej żadnego stanowiska w świecie i wybrał ją na panią swego serca i domu...

— Kamilko... — rzekła z nagłem postanowieniem, czując że nie powinna przed tą, która tak szczerą i bliską jej była, ukrywać swojej tajemnicy. — Kamilko..., czy jesteś tak zaabsorbowana swojem własnem szczęściem, że nie domyślasz się niczego więcej...! czy nie widzisz, nie uważasz... co ze mną się dzieje?

— Z tobą? — spytała trochę zdziwiona. — Z tobą, spokojna mimozo? Czyżby Władysław... ale nie! to niepodobna!

Janina pokręciła głową ze smutnym uśmiechem.

— Nie, domyślasz się, ani przypuszczasz tego, co jest w istocie... — rzekła i nagła trwoga ją objęła... Jeżeli Kamilla, życzliwa dla niej nie przypuszcza nawet, żeby tu o Romana chodziło... cóż inni powiedzą?... Ach moja, droga mówiła dalej, głosem drżącym — jestem szczęśliwą bez granic, a zarazem bardzo nieszczęśliwą!... Jestem w takiem położeniu... w jakiem nikt się nigdy pewnie nie znajdował...

Przejęta współczuciem Kamilla objęła ją w uścisku; grube łzy spływały z pod przymkniętych powiek Janiny.

— Roman... co Roman... prawda? — szeptała Kamilla, przechylając się nad nią z dobrocią, ale smutna bardzo.

Przypuszczała że Janina się w jej kuzynie zakochała bez wzajemności i żal jej było biednej.

— Tak... i on także powiedział mi... że mnie kocha..., że żyć bezemnie nie może.

— On! Roman! on ci to powiedział?... — zawołała Kamilla prostując się żywo, głosem w którym była ciekawość, zdziwienie i niedowierzanie.

Na Janinie dziwnie przykre, poniżające prawie wrażenie uczynił wybuch Kamilli; poraz pierwszy przyszło jej na myśl, iż rzeczywiście miłość Romana dla niej musiała być czemś, wychodzącem po za granice przyjętych, utartych zwyczajów światowych...

— Roman? Roman? — mówiła dalej Kamilla, tym samym tonem — No! to ci winszuję! winszuję ci, bo takiego drugiego człowieka nie spotkałabyś w życiu!... kocha cię? żyć bez ciebie nie może? tak, rozumiem go doskonale! — on inaczej kochać nie umie...

— Kamilko, na Boga! — zawoła doprowadzona do ostateczności biedna Janina — twój ton, twoje słowa... wszystko to świadczy, że stało się coś potwornego czego nie rozumiem... a co się stać nie było powinno!...

— Nie było powinno? owszem, tak powinno się dziać zawsze, a nie dzieje się nigdy... Ty, — daruj mi że to powiem — ty jesteś biedna... a on! on magnat prawie! czy wiesz Janinko, co wart klucz Wąsilecki? a czy wiesz jakie kapitały posiada wuj Bronimirski? nie, ty nic nie wiesz, biedactwo moje drogie... Otóż dowiedz się, że majątek ich miljonowy... miljonowy!... i to moja Janinka dostanie... moja mała, biedna, skromna i dobra Janinka!

Nie było ani śladu goryczy, ironji lub zazdrości w słowach Kamilli; zarzuciła znów ręce na szyję młodej sieroty i tuliła ją do siebie, jak dziecię, śmiejąc się z radości, całując jej oczy, włosy, czoło.

— Moja Janinka, miljonowa pani! — powtarzała z upodobaniem. — Wiesz teraz dla czego mama tak pragnęła wydać mnie za Romana!

Niewzruszona, blada, milcząca, siedziała Janina jak automat pozwalając się pieścić, całować, słuchając ożywionej mowy Kamilli. Zdawało się jej biednej, że ciężar jakiś bezmierny wali się na nią, przygniata, a ona tchu już złapać nie może...

Nagle Kamilla ton zmieniła. W ruchliwym jej umyśle snuć się zaczęły myśli szybkim biegiem; wiadomość którą usłyszała przypomniała jej własną jej miłość...

— Kochasz go?... — szepnęła rozmarzona — kochasz Romana, jak ja mego Stasia?...

Słowo to obudziło Janinę ze stanu odrętwienia w jakiem zostawała.

— Czy ja go kocham?... — odrzekła, składając ręce i wznosząc w uniesieniu oczy do góry — Kocham go szalenie, nad życie... gotowa jestem życie poświęcić dla niego, za niego... i kto wie?...

Spuściła oczy, które łzą się zaćmiły; zakryła twarz rękami i zapłakała...

— Czemu?... Janinko, czemu płaczesz? — pytała Kamilla troskliwie.

— Czemu?... za wielkie szczęście mnie spotkało... łzami okupić je trzeba. Ale ty tego nie rozumiesz... nie możesz rozumieć!

— Rozumiem doskonale, że ty możesz i będziesz szczęściem Romana! — rzekła Kamilla i prosząc ją raz jeszcze żeby się uspokoiła, odeszła do siebie, marzyć o własnem szczęściu...

Janina została samą. Późno już być musiało, ale pomimo, że nie spała wcale poprzedniej nocy, nie pomyślała nawet o spoczynku. Siedziała ciągle na tem samem miejscu, na którem ją pozostawiła a w uszach jej ciągle brzmiały jej słowa: on miljonowy, miljonowy... ty będziesz miljonowa...

Co miała czynić? jak postąpić?...

Wyrzec się jego? starać się zapomnieć? ależ to nad jej siły! ona jego kocha... kocha jak jedyne dobro, skarb swój najdroższy!...

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

Ważne dla Sympatyków „Krainy Szczerości"

Ponieważ nasz częsty apel do Sympatyków „Krainy", by do listów załączali znaczki, nie u wszystkich znalazł zrozumienie, prosimy dzisiaj jeszcze raz uprzejmie, by do listów, które za naszem pośrednictwem mają być doręczone adresatom, dołączali znaczki na dalszą przesyłkę.

Dziękuję za prześliczny liścik!

„Polny Kwiatuszek". Kochana „Córeczko"! Dziękuję serdecznie za prześliczny liścik. Czytając go, byłam szczerze wzruszoną. Widzę, że „Polny Kwiatuszek" to mała poetka o duszy wrażliwej i sentymentalnej. Chętnie liścik Twój oddałabym do druku, jednakże jest za długi. Tak samo wierszyki. Za długie! Jednakże chcąc zrobić przyjemność „Córeczce" zamieszczę po małych poprawkach „Czem jest życie?" A teraz żegnaj przemiły „Polny Kwiatuszku!"

Czem życie jest?

Czem jest to życie?
To wielka przestrzeń, po której suniesz,
Jak chmura po błękicie!
To ciągła walka, wśród której myślisz,
O lepszym bycie!
To stała męka, którą przeżywasz,
Choć często skrycie!
To cel i droga, którą przejść musisz,
Nim dojdziesz do Boga!

„Polny Kwiatuszek."

Sądzę, że tak!

„Listek Dębowy". Młoda mieszkanka lasów, bardzo poważna, pracowita i wesoła, o tęsknej duszy nawiąże korespondencję z chłopcem o dobrem sercu, kochającym przyrodę. Czy znajdzie się ideał „Listka Dębowego" wśród nas?... Sądzę, że tak!

Zapewnie Pani już otrzymała?

„Blondynka o długich warkoczach". Książkę kucharską zapewnie Pani już otrzymała. Cieszy mnie fakt, że podobają się Pani „M. P." Do „Rodziny" przyjmuję Panią z radością i przesyłam od Pani pozdrowienia dla „Wali z nad Drwęcy."

Bardzo to pięknie...

„Czarnobrewka". Bardzo to pięknie, że Pani przemogła swoją nieśmiałość i napisała do mnie. Odtąd będziemy już dobremi znajomemi i przypuszczam, że przywiąże się Pani do naszej licznej „Rodziny." Czekam na nowe, serdeczne słowa!

Powiedz mi...

Kochanej Z. M. — poświęcam.

Czem tyś dziewczyno moja jest dla mnie,
Tego nikt z ludzi nigdy nie zgadnie —
Tyś moje szczęście, mój skarb jedyny,
Bo nad cię niema słodszej dziewczyny.
A co ja noszę w sercu, jedyna,
Nikt nie zobaczy tego oczyma,
Wielkiej miłości ognie tam płoną,
W każdą noc cichą, nieodgadnioną.
Tęskna jest myśli mych zawsze toga,
Lecz nikt nic nie wie, dziewczyno droga,
Bom ja od wszystkich tak opuszczony,
Może przez ciebie nawet wzgardzony.
Nie wiem, boś nigdy mi nie mówiła,
Nigdyś się droga mi nie zwierzyła,.
Że ty jednego mnie kochasz szczerze,
Nie wiem, więc powiedz, a ja uwierzę.

Mieczysław, Konrad Fritza.

„Kozaczek" dysponuje dużą ilością czasu...

„Kozaczek" mieszka w ślicznych okolicach, lecz smutnych w obecnej porze roku. W wolnych chwilach uprawia sporty, ale pomimo to, rozporządza taką ilością czasu, że pragnie go wykorzystać w celach korespondencyjnych z jakimś Sympatycznym Czytelnikiem. A więc panowie nie pozwólcie się nudzić tej miłej Panience!

I ja byłam zadowolona

„Wuka". Listy zapewnie Pan już otrzymał? Sama byłam zadowolona z tego barwnego stosu. Dziękuję za pozdrowienia!

Wysłałam!

„Czarnulka". List do „Ord-oma" wysłałam. Może mi Pani doniesie o rezultacie? Siostrze Maryli bardzo dziękuję za pozdrowienia i czekam na zapowiedziany list.

Nie wiedziałam co się stało z słodką poetką naszej „Krainy"

„Jadźka z Kujaw". List Pani sprawił mi prawdziwą radość, bo nie wiedziałam, co się stało z słodką poetką naszej „Krainy". Czy mogłaby mi Pani napisać dłuższy list, bo ten, który otrzymałam był bardzo krótki. Za śliczne, jak zwykle wierszyki dziękuję i czekam na wiadomości, przesyłając Pani siostrzane uściski i moc pozdrowień.

„Jadzieńka" najpierwsza!

Jadzia K. Wierszyki oprócz „Bożej Dzieciny" po uzupełnieniu pewnych usterek, będą wydrukowane. Pani pierwsza przesłała materjał do III. Święta „Krainy". Pełna więc uznania dziękuję Pani za zainteresowanie. Liścik ostatni, prześliczny, zwłaszcza porównanie życia do teatru — głębokie, wzniosłe i bardzo ładne. Za życzenia świąteczne dziękuję również.

Moje życzenie

„Sierotka". Mam wrażenie, że dużo jest jeszcze mężczyzn, którym wystarczą tylko skarby duszy, a strony materjalne grają najmniejszą rolę, przy wyborze swej dozgonnej towarzyszki życia. Życzę Pani gorąco, spotkania w życiu człowieka o wzniosłych zaletach duszy, któryby potwierdził moje słowa.

Za tysiące pozdrowień dziękuję, a odpowiedź dla „Bladego Światełka" ukaże się najpóźniej w numerze gwiazdkowym.

Liścik „Pazia"

„Paź". Ponieważ liścik „Pazia" jest bardzo ładny i miły, oddaję go w całości do druku. Dziękuję „Paziowi" za pozdrowienia i proszę o przesłanie adresu.

„Droga Pani Zosiu! Od dłuższego czasu jestem czytelniczką M. P., szczególnie zainteresowała mię „Kraina", więc zamierzałam do kochanej Pani napisać, lecz obawiałam się, czy znajdę choćby maleńki kącik w Pani serduszku. Dziś już nie wątpię, gdyż tyle osób garnie się do tej kochanej mateczki po rady i pociechy, więc i ja myślę, że dla mnie znajdzie się odrobina ciepłego serduszka. Droga Pani Zosiu, spieszę do Pani ze skargą z głębi serca. Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwą istotą. Nie mam bratniej duszy, której mogłabym się zwierzyć z moich cierpień (bardzo dużo cierpię). Przed rokiem byłam szczęśliwą, ot, wiodłam beztroskie życie sztubackie", a dziś? dziś tylko wspomnienia minionych chwil. No! ale przystąpmy do rzeczy. Ot, pragnęłabym aby mnie droga Pani przyjęła do swojej rodzinki i przedstawiła czytelniczkom i czytelnikom „Krainy", bo może tam znajdę bratnią duszę, z którą mogłabym prowadzić dysputy na różne tematy.

Jestem 17-letnią blondyneczką o dużych szarozielonych oczach, długich czarnych rzęsach i brwiach (naturalne). Pomimo cierpień, jestem zawsze roześmianem trzpiotem i szukam sobie królewny lub królewicza, nie! lepiej rycerza okutego w zbroję, mieszkającego w zaklętem zamczysku, którego strzegą lwy. Koło zamczyska muszą być kwiaty, bo ja strasznie kocham kwiaty. Droga Pani, myślę, że nie odrzuci mię Pani i da mi chociaż bardzo króciutką odpowiedź w „Krainie". Zadowolę się skromniusiem kącikiem. posyłam milutkie pozdrowienie drogiej Pani, czytelniczkom i czytelnikom „Krainy".

„Paź."

Wierszyki spóźnione

„Marzyciel z pod Kościana". Cieszy mnie bardzo pamięć Pana. Wierszyki spóźnione gdyż materjał już oddałam do świątecznego numeru.

Radzę Pani zaabonować „Moją Przyjaciółkę"

„Wrzos II." Przytaczam kilka słów odpowiedzi na przedostatni list. W związku z pytaniem, skąd mogłaby Pani nabyć wzory do haftowania bielizny, radzę zaabonować sobie dwutygodnik, poświęcony sprawom kobiecym „Moją Przyjaciółkę". Znajdzie tam Pani, w każdym numerze bardzo piękne wzory na hafty, prace szydełkowe, krzyżykowe itp. Cena bardzo przystępna, bo miesięczna prenumerata wynosi tylko 80 gr. Łączę miłe pozdrowienia i uściski.

Nie zdradzamy incognita...

„Wisła". Chętnie spełniłabym Pani życzenie, jednak z zasady nie zdradzamy incognita naszych Czytelników. Radzę Pani napisać liścik samej przesłać na moje ręce list do „Divesa", a ja następnie mu przekażę. Myślę, że to „Wisi" nie zrobi żadnej różnicy.

Powracasz znów...

Powracasz znów w dalekich wspomnień echu...
Powracasz znów w czarownych cudnych snach,
Lecz każdy smęt zamiera wśród uśmiechu,
Bo tanga dźwięk twój zwid rytuje w mgłach.
Powracasz znów... przecież w tem niema grzechu,
Że wspomni ktoś, że cicho westchnie: „Ach"!
— — — —
Tańcz, grzesz i pij za nasze zdrowie Lechu!

M. Mszczycka.

Życzenie „Łobuza"

„Łobuz w spódniczce." Pomorzanka, nadzwyczaj wesoła panienka, pełna werwy i animuszu, skreśliła do mnie kilka słów. Życzeniem jej, to nawiązanie miłej korespondencji z samotnym marzycielem, szukającym bratniej duszy. Napewno życzenie i marzenie miłego „Łobuza" przybierze realne kształty. Chyba się o tem dowiem?... i otrzymam wkrótce adres?

Lubię cyganki!

„Wydra", bardzo lubi brunetki, szatynki, a najwięcej cyganki. Sam jest średniego wzrostu, brunetem o czarnych oczach, wesołego usposobienia i wielkim miłośnikiem pracy. Przebywa na stałej, państwowej posadzie, a prócz tego, posiada własne przedsiębiorstwo handlowe. Każda z Pań, która napisze do „Wydry", otrzyma w krótkim czasie odpowiedź.

Pełna wielkiej radości...

„Wenus". Pełna radości podniosłam zieloną gałązkę z fiołkami, która wypadła na moje biurko z listu „Wenus". Dziękuję bardzo za tę wzruszającą pamięć i choć z oddali ściskam dobrą „córeczkę".

Siostrzyczkę Pani przyjmuję do naszego grona i odrazu przedstawiam. A więc: „„Saturnina", blondynka, o oczach koloru morza, sympatyczna i miła. „Saturnina" pragnie nawiązać korespondencję z Czytelnikami i Czytelniczkami.

Nakoniec dziękuję Kochanej „Wenus" za świąteczne, szczere życzenia i czekam na obiecany list. Wierszyk miły, ale za długi, schowałam go sobie na pamiątkę.

Ja nie żałuję

Ja nie żałuję moich snów tęczowych,
Choć mi je rozwiał losu powiew zły,
Ja nie żałuję marzeń koralowych,
Choć nieraz gorzkie wylewałam łzy..

Ja nie żałuję tych godzin czarownych,
Co tyle blasków wniosły w życie me,
Ni dawnego szczęścia chwil niewysłownych,
Choć wszystkie, wszystkie znikły w sinej mgle.

Ja nie żałuję — choć ma biedna dusza
Jeszcze dziś z rozpaczy i tęsknoty łka,
Bo wiem, że ciebie mój ból nie wzrusza...
— Bo szczęście — im piękniejsze, tem krócej trwa...

Wanda Kędziorówna.

Śrem, w grudniu 1934 r.

Miłe pozdrowienia

„*Zawiedziony*". Życzenie Pana spełniam i poniżej zamieszczam kilka słów z listu Pana:

„Jestem ciemno-blondynem, średniego wzrostu o szaro-niebieskich oczach. Mam obecnie dwadzieścia kilka lat. Lubię bardzo muzykę, śpiew i sympatyczne, wesołe panienki, których niestety znam mało. Może więc która z Czytelniczek napisze pod „Zawiedziony", a ja zobowiązuję się natychmiast odpowiedzieć na każdy list. Kończę liścik z nadzieją, że nie pozostanie bez echa i zarazem pozdrawiam serdecznie Panią, oraz wszystkich członków jej stale zwiększającej się „Rodzinki", a szczególnie wszystkie sympatyczne i wesołe Poznanianki."

Do naszej „Rodzinki" przyjmuję Panią...

„*Gazella II.*" Liścik dla „Divesa" przekazałam. Do naszej „Rodzinki" oczywiście Panią przyjmuję. Za pozdrowienia dziękuję i proszę o dłuższy liścik.

Oddałam Wujkowi Januszowi

„*Włóczęga po Borach Tucholskich*". Wierszyki przesłane do oceny oddałam Wujkowi Januszowi. Za snop pozdrowień Panu, oraz koledze dziękuję.

Które będą ukojeniem...

„*Muzyk*" nie rozpisuje się szeroko, tylko w krótkich słowach donosi o sobie:

„Jestem 20-letnim blondynem, średniego wzrostu i miłego usposobienia. Lubię taniec, śpiew i muzykę, bo i sam jestem muzykalnym. Dużo nie będę się rozpisywał, bo nie wiem, czy która z Sympatyczek, prześle dla mnie choć kilka miłych słów, które będą ukojeniem w mych nudnych chwilach.

Na koniec w szczerych słowach ślę pozdrowienia dla P. Zofji, Wujka Janusza i wszystkich Sympatyków „Krainy."

Apel do Czytelników z Kowla

„*Dziewczę ziemi Cieszyńskiej*". Losy są rzeczywiście kapryśne, skoro Pani, w tak krótkim czasie znalazła się w innej połaci kraju. Może mi Pani coś opisze o nowych okolicach, ma Pani bardzo jasny i miły sposób wypowiadania myśli, więc z przyjemnością przeczytam długi liścik.

Następnie apeluję do Czytelników, zamieszkałych w Kowlu, by zechcieli napisać do „Dziewczęcia ziemi Cieszyńskiej."

Ból

Jest ból, co targa włóknami duszy,
Jak owad srebrną nicią pajęczą,
Jest ból którego nic nie rozkruszy,
I pod obuchem którego jęczą
Miljony całe,
Osamotniałe,
Męką zmartwiałe
Jako kamienie.
Jest rozpacz wielka ponad rozpacze,
Ponad znoszone cierpień brzemiona,
Gdy serce czyjeś gorzko zapłacze,
Gdy ciało czyjeś w ciemnościach kona,
Z smutku zmartwiałe,
Osamotniałe
I skamieniałe,
Jak matka—Niobe.
Ale największy z bólów rozpaczy,
Jest ból niewiary w swe własne siły,
Ból tajemniczy, co los tułaczy
Każe wgrzebywać w mroku mogiły,
Co na śmierć skaże i w nic zamienia.
— — — —
A w noc wybraną z łomów kamienia
Ducha zbuduje,
Siłą swą skuje
I ludom poda dłoń wyzwolenia
Z niewiary grzechu.

Maryla Wawrzyńczakówna.

Czasem trzeba trochę poczekać!

„*Loś*". Uśmiałam się szczerze z listu Pana. Cieszę się również, że przekonał się Pan znowu do „Krainy". Widzi Pan, że „baby" nie są tak znowu „roztrzepane", jak Pan przypuszczał. Odpowiedź otrzyma Pan na każdy list prędzej czy później, tylko czasami trzeba się rzeczywiście uzbroić w cierpliwość i czekać, a nie odrazu grymasić. Myślę jednak, że więcej to się nie powtórzy i częściej otrzymam podobne, wesołe liściki od „Losia"?

Kto spełni życzenia „Serwidy"

„*Serwida*". 20-letnia panienka, o czarnych lokach i piwnych oczach, obdarzona wesołością i powagą, nawiąże sympatyczną korespondencję. Sądzę, że znajdzie się ktoś miły i spełni życzenia „Serwidy"...

Dlaczego taki krótki liścik?

„*Blanka*." Cieszy mnie fakt, że „Moje Powieści" tak bardzo się Pani podobają. Do „Rodzinki" przyjmuję Panią z radością i pragnę, by „Blance" było wśród nas zawsze dobrze i wesoło. Dlaczego taki krótki liścik? Czy następny, będzie już dłuższy?

„Błękitna Rycerka" z Pomorza

„*Błękitna Rycerka*" to 18-letnia maturzystka — Pomarzanka. Posiada ciemno-blond włosy i duże prawie czarne oczy, mówiące o wielkiej tęsknocie. Chętnie nawiąże korespondencję z osobą kulturalną, o dobrem, kochającem sercu.

„Błękitna Rycerko"! jeżeli tylko masz szczere chęci, nadeślij opis wycieczki do Krakowa. Przeczytam go w wolnej chwili z prawdziwą przyjemnością, bo sama znam Kraków i jego zabytki, więc list Twój będzie dla mnie lekturą, pełną wspomnień.

Kto?...

„*Jania*". Kto z inteligentnych i wykształconych Panów pragnie nawiązać korespondencję, niech prześle na moje ręce list dla „Jani", młodziutkiej szatynki, o oczach błękitnych i czarnych do ramion lokach.

Za szczere życzenia dziękuję

„*Wesoła Leśniczanka*". Załączone listy wysłałam pod wymienionemi adresami. Myślę, że teraz Pani zadowolona, mogąc się dzielić nietylko uczuciami, ale myślami, wrażeniami i spostrzeżeniami. Za szczere życzenia dziękuję Pani, a pozdrowienia odwzajemniam w pełni.

„Kraina" to kącik towarzyski

„*Złamane Serce*". Największą dla mnie radością jest to, gdy Czytelnicy porzucają wszelkie uprzedzenia, nieśmiałość oraz skrupuły i piszą do mnie. Nasza „Kraina" to kącik towarzyski, w którym skupiają się wszyscy samotni, Ci którym brak odpowiedniego otoczenia, którym smutno i ciężko w życiu, słowem wszyscy, którzy udawają się do „Krainy". Dla każdego ona gościnnie otwarta, wiedzą o tem wszyscy co piszą i przyłączają się do naszego grona. Dlatego i Panią witam serdecznie i proszę pisać do mnie o wszystkiem co Panią boli i zasmuca.

Śnieg

Cichutko na ziemię spada,
Śnieg... biały i puszysty,
I serca ludzi spowija
W całun zadumy bezkresnej.
I leci śnieżyczek rój,
Co w gwiazdki są zaklęte,
By koić ludzki ból,
I serca otulać zziębnięte.

„Przygoda".

Teczka Wujka Janusza

Stracone sny

Stracone sny, stracone sny!...
Za tobą płyną me gorzkie łzy,
Za tobą cudną, jako ta wiosna —
Ach czemu zniknąłś tak nielitosna?...
Stracone sny, bo poszłaś w dal,
Za tobą tęsknota moja i żal...
Życie bez ciebie jest takie głuche,
Tak beznadziejne i takie kruche.
Może na chwilę jednak powrócisz
I pieśń miłości mi znów zanucisz,
A może popchniesz mnie znowu w cienie,
Zdepcesz marzenia, zgasisz wspomnienie.
Lęk jakiś dziwny biegnie z oddali,
Tęsknota szumi na rzecznej fali,
A z oczu płyną wciąż gorzkie łzy,
I wiatr rozpędza stracone sny.
Czy kiedy jeszcze zakwitną bzy
I przyjdą szczęścia znów jasne dni,
Chciałabym tak wiedzieć, czy znów ktoś śni,
I czyjeś serce i czyjeś łzy...

Franciszek Reitz — Grudziądz.

W noc głuchą

Przy czarnej kawie i likierze,
Zapijam me bolesne smutki,
I tylko brak mi pewnych danych,
Aby je ubrać w wierszyk krótki.
W mych smutnych, niedołężnych rymach,
Składanych może od niechcenia,
Zamykam nieraz smutną kartę,
Mojego rozmarzenia.
Przy czarnej kawie i likierze,
Marzę, śniąc sny prześnione,
Choć wiem, że to co pragnę,
Nie będzie nigdy spełnione.
I dzisiaj może od niechcenia
Gdy z serca płyną łkania,
Zamykam wzniosłą i najdroższą,
Mą kartę miłowania.

„Biała Uajali."

Zima

Zima. Śnieg srebrny pokrył ulice całunem
Białej makaty; księżyc pozłocił glazurę,
Dachów wysmukłych świątyń oszczepy, zły omen.
Ludzie przeziębli mkną przez asfalty, złą córę —
Zimę klną.
W niszy gotyku stada wron kraczą żałośnie,
Ostrząc swe dzioby, zdobycz iluzją już widzą.
W oknie facjatki ktoś cicho marzy o wiośnie,
Chociaż mu sople z rynien negują i szydzą:
Zima jest.

Zygmunt Garba.

Wiersze dobre

„*Amor II.*" Wierszyki przesłane do oceny dość dobre. Zamieszczę obydwa. W dzisiejszym numerze, daję wiersz „Jesienna miłość", który jest krótkiem ujęciem osnowy powieści Maciejowskiego p.t. „Jesienna Miłość". Może Pan więcej prześle, podobnie oryginalnych utworów?

Jesienna miłość

Jak ta brzoza płacząca, wśród pól jesiennych jedna,
Tak ty, opuszczona przez wszystkich, pozostałaś biedna,
I choć w swem życiu nie poznałaś słowa głód,
To jednak serce twe poznało świata chłód.

Tak zdana na łaskę i niełaskę trwania,
Byłaś nieszczęśliwą od wiosny zarania.
Nie wiedziałaś, czy cię wichry życia nie załamią,
I czy serca obłudy, nie nakarmią.

Tyś się buntowała, chcąc zakończyć życie,
Bo serce twe z bólu krwawiło obficie.
I odeszłabyś pewno z tej ciasnej klatki,
Gdyby nie wiara w Boga i miłość matki.

A jednak wszelki smutek i serca łkanie,
Ukoiło nowe, w Nałęczowie poznanie
I zmysły oddawna już znieczulone,
W jesieni życia Waręga zbudził uśpione.

„Amor II."

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Jak żeście kochające Czytelniki same widzieli, ostatniemy czasy przestałem się polityką zajmować. Myśle sobie: Zamknij narazie mordę i siedź cicho, przecież od tego mamy Ligie Narodów, żeby między niemy porządek robiła.

Ale widzę, że z tego ni cholera nie wychodzi i musze dziś sam dwa, trzy słowa zaznaczyć.

Przedewszystkiem o Francuzach. Już mniejsza o to, że naszem robociarzom pędy od siebie dają, chociaż jem kraj odbudowali, ale to co ostatnio zrobili z tem radjonem, faktycznie o krytykie sie prosi.

To siostrzyca tak robi? Po angielsku, po niemiecku, po włosku, po hiszpańsku nawet bez głośnik się wyszczególnia, a po polsku ani dudu?

Redakcja „Moich Powieści" z Panią Zofją i Wujkiem Januszem składa gorące podziękowanie tym wszystkim Kochanym Czytelnikom, Przyjaciołom i Sympatykom, którzy nadesłali życzenia świąteczne, oraz przesyła z głębi serc szczere i serdeczne życzenia wesołego i szczęśliwego NOWEGO ROKU.

Nowy Rok po wsiach i miastach polskich

Charakterystyczną cechą nietylko dla Polaków, ale i dla wszystkich innych narodów jest to, że Nowy Rok obchodzi się powszechnie pod znakiem humoru i wesela.

Z dniem tym związany jest też długi szereg zwyczajów i obrzędów, przestrzeganych zwłaszcza wśród ludu wiejskiego.

W dawnej Polsce, obok składania sobie życzeń był również zwyczaj, stosowany zwłaszcza na dworach królewskich i książęcych, ofiarowywania sutych i obfitych podarków poddanym. Dzisiaj zwyczaj dawania podarków praktykowany jest przeważnie tylko na „gwiazdkę".

W wiekach średnich istniał zwyczaj, że na Nowy Rok zbierali się w gromady ubodzy żacy, czyli studenci i zabrawszy torby i garnuszki obchodzili domy mieszczańskie, starając się aktualnemi piosenkami pobudzić hojność ofiarodawców. Niektóre takie piosenki wyliczały m. i. przysmaki, których domagali się żacy. We wszystkich prawie domach obdarowywano ich według możności.

Prawdopodobnie zwyczaj, wprowadzony przez żaków przeniósł się z czasem do młodzieży wiejskiej, która do dziś dnia jeszcze w Nowy Rok w najrozmaitszem przebraniu obchodzi wieś i w zamian za wesołe i żartobliwe piosenki otrzymuje poczęstunek i drobne datki.

Najpospolitszym dziś po wsiach utrzymującym się jeszcze zwyczajem jest rozsypywanie na rogach stołu owsa, oraz trzymanie w ciągu całego dnia bochenka chleba na stole na znak, że w zaczynającym się roku nie powinny zawieść urodzaje i nie powinno być w domu głodnych.

Z dniem Nowego Roku związany jest także szereg zabobonów i przesądów, oraz wróżb, z których lud polski wyciąga prognostyki na przyszłość. Dziewczęta czynią najrozmaitsze wróżby zamążpójścia, tak samo jak w wigilję św. Andrzeja. Jest bowiem między temi dnia mi ten związek, że św. Andrzej zakończa rok kościelny, a św. Sylwester rok świecki.

Jest też mniemanie, że dziewczyna, która w wigilję Nowego Roku o północy wpatruje się przy świetle dwuch świec woskowych w zwierciadło, ani razu nie obejrzy się za siebie, ujrzy w lustrze postać przyszłego małżonka. W dniu tym dziewczęta płatają figle chłopcom, a ci znowu dziewczętom. Więc wciągają brony na kominy domów, drzwi podpierają klocem drzewa itd. Dziewczęta przebierają się za cyganki, parobcy za cyganów, oprowadzających niedźwiedzia, który zaleca się do dziewcząt.

Wszystkie te tradycje ludowe utrzymują się jeszcze częściowo po wsiach. Po miastach zamiast kwiecistych oracyj noworocznych i serdecznych życzeń, wchodzą a nawet już są w użyciu zimne i czcze bilety drukowane, rozwożone początkowo przez służących w karocach, dzisiaj zaś rozsyłane przez pocztę. Zamiast wizyt noworocznych, lub rozsyłania biletów z powinszowaniem, wystarczy dziś nawet złożyć pewną sumę na cele dobroczynne i ogłosić o tem w gazetach.

Zabytek starego zwyczaju obchodzenia z życzeniami noworocznemi utrzymują po miastach tylko roznosiciele gazet, listonosze, stróże domów, kominiarze, a po wsiach organiści i sludzy kościelni. Każda zresztą okolica w Polsce zachowała jeszcze pewne tradycje noworoczne, które z biegiem czasu zmieniają się nietylko pod względem formy, ale często nawet i pod względem treści zasadniczej.

Dodać wkońcu trzeba, że gdy u nas obchody noworoczne zachowały jeszcze dużo charakteru rodzinnego, to zagranicą przeniosły się one niemal zupełnie do lokalów publicznych.

Takie ważniaki się zrobiliście szanowne panowie Francuzy? Od kiedy? Dla kogo?

To tyż faktycznie racje mieli nasze radjoamatorzy, że nie chcieli tego słuchać tylko zamkli swoje aparaty i poszli na wódkie z tego żalu.

Ale to wszystko mało. Trzebaby się na francuskich radjoniarzach jakoś mocniej odegrać.

Po mojemu należałoby ustawić na tem drapaczu nieba w Warszawie fest radjową maszynę. Na Paryż ją trąbą wykręcić i zaprosić moją żonę, żeby ich na glans wysztorcowała.

Głos ma cholera taki, że napewno byłoby ją w Paryżu słuchać.

Co prawda możeby nie dużo z tego Francuzi zrozumieli, ale i tak musieliby się połapać, że to nie są świąteczne życzenia. Ostatecznie mógłby ktoś przy żonie stanąć i słowo w słowo jem to na francuski tłomaczyć.

O ile znam swoje małżonkie, to Francuzi musieliby głośniki pozamykać, żeby jem się dzieci nie zgorszyli.

Wtedy byłoby wszystko na kwit i moglibyśmy nazad z Francuzami za kolegów się zostać, do czego i tak dojdzie, bo to niezłe nawet faceci, tylko trzeba jem od czasu do czasu te parę słów prawdy powiedzieć.

Gorzej zgniewali mnie pepiczki knedlami karmione. Jak się dowiedzieli, że w Warszawie umarł jeden hrabia, co forse na szpital zapisał, odrazu na ten majątek apetytu nabrali i mówią, że wartoby te pare miljonów przykaraulić.

Znalazła się cała kupa cwaniaków, które zaczęli potomków tego hrabiego odstawiać. Jak z pod ziemi wyłażą szwagrowie, ciotki, kuzyni, i jeszcze kompinatory, żeby ten spadek zahaczyć i cherem go nie dać. A jaki, ty, pepiku, w powidła szarpany, możesz być kużyn polskiego hrabiego?

Tyle lat go nie znałeś, nawet pocztówki na jemieniny nigdy nie przysłałeś, jeden z drugiem, a teraz do gotowego lecisz?

Ale się ta granda napewno nie uda, bo wy szemrane jesteście, ale i u nas tyż cwaniaków nie brakuje, które potrafią szpital obronić.

W każdem bądź razie tak mnie to zgniewało, że dłużej nie mogie się już wyszczególniać i musze iść „Pod karasia" ze szwagrem parę kolejek zrobić, bo inaczej czuje, że mnie żółć zaleje.

Adje!

RAJ KOBIET

Włosów, które wypadły odzyskać się nie da

Włosów, które wypadły, odzyskać się w żaden sposób nie da. Takiego lekarstwa medycyna jeszcze nie zna. Można natomiast opóźnić wypadnięcie pozostałych włosów przez codzienne najdokładniejsze mycie głowy przetłuszczonem mydłem i gorącą wodą. Poza tem wskazane jest nacieranie głowy 3-procentową maścią siarkową. Wcierać ją należy trzy razy na tydzień dokładnie i mocno w owłosioną skórę głowy; wcierać trzeba tę maść nie we włosy, ale w samą skórę, odgarniając włosy kępkami na boki. Najważniejsze jest jednak codzienne najdokładniejsze mycie skóry owłosionej dobrem mydłem i gorącą wodą.

Swoisty czar koronek

Swoisty czar mają koronki. Ich zalety znane były największym pięknościom świata, których urok i wdzięk właśnie owe piękne, stare koronki podnosiły. Koronkę faworyzuje w tym sezonie Wiedeń. Żadna rewja, żaden pokaz mód nie obejdzie się bez modeli koronkowych, przeznaczonych nietylko na wieczór, ale nawet... i to jest właśnie oryginalne, lansuje się koronkę w modelach prostych raczej sportowych.

Przedewszystkiem noszone są z koronki bluzki krótkie i długie kasaki w kolorze kości słoniowej w odcieniu bananowym i kolorze marmuru o bardzo delikatnej tkaninie. Bardzo pięknie prezentują się suknie wizytowe u góry kombinowane jasną koronką, więc gieska na przodzie, conajmniej pół pleców no i całe rękawy, oczywiście szerokie, szerokością wprost fantastyczną, w przegubie zebrane czarnemi lub metalowemi kółkami.

Bardzo efektownie i oryginalnie wyglądają najrozmaitsze wsadzki z koronek specjalnie przy sukniach ciemnych. Specjalnie w okolicy wycięcia, na ramieniu, wąskie paski wzdłuż pleców, no i jeśli nie całe rękawy, to chociażby wąskie lub okrągłe wsadzki gdzieniegdzie. Poza tem bardzo modne są kołnierze żaboty i mankiety koronkowe. W tej dziedzinie tegoroczny sezon celuje w niezliczonych pomysłach. Samą koronkę wyrabia się obecnie w całym szeregu nowych i pięknych gatunków. Jest koronka: jedwabna, wełniana, grubej lub cieniej tkana, w kratkę, kropki, w kupełki, dziurkowana i gęsta o wzorach kwiatowych lub nieregularnym rysunku, jednem słowem, od najskromniejszej aż do najbardziej luksusowej i fantastycznej, a każda jest naprawdę niezwykle elegancka i piękna.

Co słychać w polityce?

ZATARG WŁOSKO-ABISYŃSKI

Liga Narodów staje przed nowem, bardzo poważnem zadaniem, — rozstrzygnięcia **sporu włosko-abisyńskiego** o obszar Ualual, uznany przez Włochy za część terytorjum włoskiego Somali, graniczącego z Abisynją, przez rząd Negusa zaś, za terytorjum abisyńskie.

Według relacyj pochodzących ze strony abisyńskiej i przedłożonych Sekretarjatowi Generalnemu Ligi Narodów zatarg sprowokowany został rzekomo przez garnizon włoski stacjonowany w Ualual. Żołnierze włoscy mieli pierwsi rozpocząć ostrzeliwanie oddziału wojsk abisyńskich, przydanego do ochrony komisji abisyńsko-angielskiej, której zadaniem jest rozgraniczenie spornego terytorjum Ogaden. Równocześnie z akcją zaczepną wojsk włoskich, samoloty włoskie rozpoczęły bombardowanie Ualual.

Włosi natomiast przedstawiają tę sprawę w zupełnie innem świetle: komisja złożona z przedstawicieli **władz etjopskich** (abisyńskich) i Anglików, przybyła w dniu 23 listopada do Ualual, miejscowości położonej na terytorjum włoskiego Somali i zajętej od wielu laty przez garnizon włoski. Pomiędzy komisarzem Etopji (Abisynji) i komisarzem angielskim, a komendantem garnizonu włoskiego odbyła się wymiana listów, w której komisarz Etapji, powołując się na przynależność tego terytorjum do Abisynji domagał się usunięcia garnizonu włoskiego i zastąpienia go przez garnizon wojsk etjopskich. W odpowiedzi na wezwanie komisarza etjopskiego, oświadczył komendant garnizonu włoskiego, że żadną miarą nie może się zgodzić na wkroczenie wojsk etjopskich na terytorjum Somali włoskiego, i że kwestja sporna przynależności terytorjalnej samego miasta Ualual może być rozpatrzona przez rząd obu zainteresowanych krajów. Po tem oświadczeniu komisja angielsko-etjopska wycofała się, oddział wojsk etjopskich w sile około 1000 ludzi zajął natomiast pozycje frontem do garnizonu włoskiego. Komendant garnizonu włoskiego zaproponował dowódcy wojsk etjopskich, wystawienia specjalnej linji posterunków ochronnych, któraby umożliwiła zetknięcie się pojedyńczych grup wojsk etjopskich z wojskami włoskiemi i temsamem wykluczyła możliwość wybuchu, jakichkolwiek zatargów zbrojnych. Propozycję tę komendant oddziału etjopskiego odrzucił.

Oba wojska pozostawały więc w dalszym ciągu w bezpośrednim kontakcie. Ze strony wojsk etjopskich przechodziły stale patrole na stronę włoską i usiłowały nakłonić żołnierzy tubylców, służących w szeregach włoskich do dezercji. Wreszcie 5 grudnia wojska etjopskie przejść miały, według relacji źródeł włoskich do akcji zaczepnej. Ogień na pozycje włoskie otworzyło kilku żołnierzy etjopskich, wywołując ze strony włoskiej natychmiastową replikę. Siła ognia miała być dość znaczna i wojska włoskie poniosły poważne straty. Przy pomocy sprowadzonych na pomoc czołgów i samolotów bombardujących udało się odeprzeć napastników.

Rząd włoski zwrócił się **do rządu w Addis-Abbeba** z ostrym protestem i **domagał** się zadosyćuczynienia, które między innemi polegać miało na: przeprowadzeniu władz włoskich przez gubernatora prowincji Harra, sąsiadującej z okręgiem Ualual, i w którego kompetencji znajdowało się użycie lub wycofanie wojsk etjopskich działających w okręgu Ualual, — oddanie honorów sztandarowi włoskiemu, ukaranie winnych, i wypłata pewnej sumy odszkodowań za straty w ludziach i materjale, doznane wskutek agresji wojsk etjopskich. Nota protestacyjna rządu włoskiego wręczona została w Addis-Abbeba równocześnie niemal z przedstawieniem reprezentanta Abisynji w Rzymie, który domagał się poddania zatargu komisji arbitrażowej, wobec czego rząd włoski zajął stanowisko wyraźnie odmowne.

Trudno w tej chwili przewidzieć jaki będzie dalszy ciąg przebiegu zatargu. O wadze, jaką rządy obu krajów przywiązują do kwestji świadczy najwymowniej fakt, zwrócenia się do Ligi Narodów oraz powołanie przedstawiciela Włoch w Addis-Abbeba, M. Vinci, do Rzymu celem udzielenia mu nowych instrukcyj.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 30. XII. 34. do 5 I. 1935 r.

Niedziela, dnia 30 grudnia 1934 r.

9.00 Sygnał czasu i kolenda 10.00 Transmisja Nabożeństwa z Krakowa. Kazanie na 1-szą niedzielę po Bożem Narodzeniu p. t. „Bojowaniem jest żywot człowieka" wygł. ks. prof. dr. Jan Krawczyk. Po nabożeństwie kolendy polskie 12.15 Poranek muzyczny z Filharmonji Warszawskiej 14.00 Muzyka salonowa 15.00 „W trosce o nasze zwierzęta — ich ochrona 15.15 Utwory (organy) 15.25 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Piosenki w wyk. Eugenjusza Bodo 15.45 „Jakie nasiona taki plon" 16.00 „Wieczorynka na wsi" — fragment z „Chłopów" Reymonta 16.20 Recital fortepionowy 16.45 „Rosnąca choinka" — opow. dla dzieci starszych 17.00 Polska muzyka ludowa 17.50 „Wyspa mgieł i wichrów" 18.00 Teatr wyobraźni 18.45 Odczyt 19.05 Feljeton aktualry 19.20 Muzyka 19.30 „Od Straussa do Lehara — Koncert 21.10 Dziennik wieczorny 21.20 „Jak pracujemy w Polsce" 21.25 „Na wesołej lwowskiej fali" 22.00 „Skrzynka pocztowa techniczna" 22.15 Koncert reklamowy 23.30 Wiadomości sportowe 22.55 Mało znane utwory symfoniczne francuskich kompozytorów 23.05 Koncert popularny.

Poniedziałek, dnia 31 grudnia 1934 r.

6.45 Audycja poranna 12.10 Koncert orkiestry jazzowej 13.00 Dziennik południowy 13.05 „Z oper G. Pucciniego" 15.35 Przegląd giełdowy 15.45 Koncert 16.45 Lekcja języka niemieckiego 17.00 Recital fortepianowy 17.25 „Skrzynka pocztowa" 17.35 Muzyka salonowa 17.50 „Walka i zbrodnia wśród roślin" 18.00 „Skrzynka pocztowa rolnicza" 18.10 Przegląd filmowy 18.15 Koncert solistów 18.45 „Rok po roku, jak woda po potoku" 19.00 Muzyka salonowa 19.25 Chwilka społeczna 19.30 „Gdy na przełomie roku dojrzewają pomarańcze" 19.50 Wiadomości sportowe 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Jak pracujemy w Polsce" 21.00 Koncert 21.45 Odczyt 22.00 Koncert reklamowy 22.25 „Zwarjowana Muza" 22.45 Przeboje i melodje z roku 1934 23.05 Dalszy ciąg przebojów i melodyj z roku 1934 23.55 Mazur z op. „Halka" — Moniuszki 24.00 Bicie zegara 24.00 a) Przemówienie noworoczne Naczelnego Dyrektora P. R. dr. Zygmunta Chamca b) Polonez A-dur Chopina 00.10 Specjalna audycja dla Polonji Zagranicznej Tr. do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej a) Hymn Narodowy b) Przemówienie Prezesa Światowego Związku Polaków Zagranicą Pana Marszałka Władysława Raczkiewicza 00.25 Muzyka taneczna 1.00 Wesoła audycja sylwestrowa 2.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 1 stycznia 1935 r.

9.00 Sygnał czasu i kolenda 10.00 St. Moniuszko Uwert. „Bajka" 10.30 Transmisja Nabożeństwa z Kościoła św. Krzyża w Warszawie. Kazanie na Nowy Rok p. t. „Problem życia" — wygł. Ks. Kanonik dr. Jan Szmigielski 12.05 Przegląd teatralny 12.15 Koncert — poranek z Filharmonji Warszawskiej 13.00 „Huculszczyzna bez deklamacji" — odczyt 14.00 Wesoła muzyczka i scenki ludowe 15.00 „Na Nowy Rok" — feljeton 11.15 Utwory na klarnet 15.40 Piosenki 15.50 Pogadanka 16.00 Muzyka 16.20 Recital skrzypcowy 16.45 Słuchowisko dla dzieci 17.10 Muzyka do tańca 18.00 „Skrzynka pocztowa techniczna". 18.15 Muzyka lekka 18.45 „Noworoczne horoskopy literackie" 19.00 D. c. Muzyk lekkiej 19.20 Feljeton aktualny 19.30 Muzyka 19 5 Wiadomości sportowe 20.00 Operetka „Jedna jedyna noc" — R. Stolza 22.30 Muzyka taneczna 23.05 Muzyka taneczna z płyt.

Środa, dnia 2 stycznia 1935 r.

9.00 Audycja poranna. 12.10 Koncert. 13.00 Dziennik południowy. 13.05 Marsze i piosenki wojskowe. 15.35 Przegląd giełdowy. 15.45 Fragment teatralny 16.00 „Historja tańca" lekka audycja muzyczna. 16.30 Piosenki. 16.45 „Chwilka pytań". 17.00 R. Schuman: Pieśni z cyklu „Miłość i życie kobiety". 17.25 „Kujon, len i ta trzecia". Odczyt. 17.35 Utwory w wyk. Jef Denyn'a na dzwonach. 17.50 Poradnik sportowy. 18.00 Skrzynka pocztowa rolnicza. 18.10 „Życie kulturalne i artystyczne stolicy". 18.15 E. Chausson: Kwartet fortepianowy A-dur op. 30. 18.45 „Kryzys dawniej i dziś". 19.00 Piosenki. 19.20 Pogadanka aktualna. 19.30 Utwory skrzypcowe. 19.50 Wiadomości sportowe. 20.00 Wieczór Mickiewiczowski. 20.45 Dziennik wieczorny. 20.55 „Jak pracujemy w Polsce". 21.00 Koncert Chopinowski. 21.30 Odczyt w języku esperanckim. 21.40 Piosenki w wyk. Hanki Ordonówny. 22.15 Koncert reklamowy. 22.15 Muzyka taneczna. 23.05 D. c. Muzyki tanecznej.

Czwartek, dnia 3 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja dla dzieci młodszych. 12.30 Koncert — poranek ze studja. 13.00 Dziennik południowy. 13.05 Z rynku pracy. 13.10 D. c. Koncertu — poranku ze studja. 15.35 Przegląd giełdowy. 15.45 Godzina muzyki lekkiej. 16.45 Lekcja języka francuskiego. 17.00 Teatr Wyobraźni. 17.50 Skrzynka pocztowa. 18.00 „Porady weterynaryjne" 18.15 Recital Jana Rakowskiego. 18.45 „Co czytać?" 19.00 Drobne utwory czeskich kompozytorów. 19.20 Pogadanka aktualna. 19.30 Piosenki. 19.50 Wiadomości sportowe. 20.00 Muzyka lekka. 20.45 Dziennik wieczorny. 20.55 „Jak pracujemy w Polsce". 21.00 Koncert wieczorny. 21.45 „Czy logika tradycyjna Arystotelesa posiada dziś znaczenie". 22.15 Muzyka taneczna. 22.45 Rozmowy z angielskimi słuchaczami. 23.05 D. c. Muzyki tanecznej.

Piątek, dnia 4 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna. 12.10 Koncert. 12.45 „Kara w życiu dziecka" — Odczyt, 13.00 Dziennik południowy. 13.05 Dalszy ciąg koncertu. 15.30 Wiadomości o eksporcie polskim. 15.35 Przegląd giełdowy. 15.45 Muzyka lekka. 16.45 Audycja dla chorych. 17.15 Koncert kameralny. 7,50 „Przegląd wydawnictw". 18.00 Wiadomości rolnicze. 18.15 Recital fortepianowy. 18.45 „Zimowe łowy" — Odczyt. 19.00 Arje i pieśni. 19.20 Pogadanka aktualna. 19.30 Muzyka taneczna. 19.50 Wiadomości sportowe. 20.00 „Jak spędzić święto"? 20.05 Pogadanka muzyczna. 20.15 Koncert symfoniczny. 22.30 Recytacje poezyj. 22.40 Koncert reklamowy. 23.05 Muzyka taneczna z dancingu „Adria".

Sobota, dnia 5 stycznia 1935 r.

6.45 Audycja poranna. 12.10 „Znane marsze". 13.00 Dziennik południowy. 13.05 Muzyka węgierska. 15.30 Wiadomości o eksporcie polskim 15.35 Przegląd giełdowy. 15.45 Najnowsze nagrania. 16.30 Teatr Wyobraźni. 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie. 17.50 „Sztuka obcowania z ludźmi" — odczyt. 18.00 „Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej". 18.15 Cezar Franck: Sonata na skrzypce i fortepian. 18.45 „Kobieta pracująca w Rosji Sowieckiej". 19.00 Pieśni. 19.20 „Ostrów Wielkopolski" — Odczyt. 19.30 Piosenki Marleny Dietrich. 19.50 Wiadomości sportowe. 20.00 Muzyka lekka. 20.45 Dziennik wieczorny. 20.55 „Jak pracujemy w Polsce". 21.00 Koncert. 21.45 „Los — bohaterem dramatu". 22.00 Koncert reklamowy. 22.15 Muzyka taneczna. 23.05 Loża Szyderców. 23.35 Muzyka taneczna. 24.00 Muzyka taneczna z dancingu „Paradis".

KĄCIK ROZRYWKOWY

A N A G R A M

ułoż. „Zeus"

Z trzech liter ułóżcie cztery słowa,
o których poniżej będzie tutaj mowa:
Pierwsze wam wskaże jak rzemieślnik pracuje;
drugi zaś malarz często maluje;
na Abrahama trzeci śle łono;
czwarty zaimkiem jest pono.
Kto pierwsze litery w porządku poukłada,
dowie się, co nam daje kultura i ogłada.

S Z A R A D A

Pierwsze trzecie — w górę leci,
Drugi trzeci — brzęczy mile,
Całość blichtrem już nie świeci
W gruzach leży wieków tyle.

Za rozwiązanie powyższych zadań wyznacza się dwie nagrody książkowe. Rozwiązania nadsyłać należy do piątku, dnia 11 stycznia 1935 r.

Rozwiązanie szarady z nr. 50 „Moich Powieści": I Liturgja, II Magnifika, III Fujara.

Dobre rozwiązania nadesłali pp. Stefan Śledzikowski Gdynia, Jan Filipiak Damasławek, Józef Frąckowiak Wągrówiec, Celina Frąszczakówna Poznań, Janina Niedbalska Tczew, Leonard Zorawowicz Mołodeczno, Maćkowiak Jan Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Stefanowi Śledzikowskiemu Gdynia ul. Morska nr. 73 i Leonardowi Zorawowiczowi, Mołodeczno 2.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

18)

Zygmunt złapał nagle starego hrabiego za rękę i uścisnął go serdecznie i gorąco, — o jakże wdzięcznym był swojemu przyjacielowi za to świetne świadectwo, jakie tenże wystawił jego Elżutce.

„Ale ja przecież niespokojny," rzekł Zygmunt, puszczając rękę hrabiego, „tam w ogrodzie i w domku zdaje mi się nie wszystko w porządku. Może zechcesz mi towarzyszyć, mój przyjacielu, w przechadzce po ogrodzie, muszę najprzód zaglądnąć prędko do pokoju słabej, potem wrócimy i zjemy kolację."

Obaj przyjaciele przeszli cały szereg wspaniale urządzonych sal, wyszli na terasę i poczęli pomału po schodach zstępować do ogrodu.

Śliczna noc rozprzestrzeniła się po ziemi. Miljardy gwiazd iskrzyły się jak drogie kamienie; pomimo tego, że była to już jesień, powietrze było spokojne i tak ciepłe, że obaj hrabiowie nie wzięli nawet kapeluszy na głowę.

Zygmunt stąpał właśnie na najniższy schód, kiedy nagle przystanął, jakby piorunem rażony.

„Teraz i ja słyszałem," zawołał, „słaby jęk, jakieś dziwne wzdychanie, jakby wychodzące z ust umierającego. — Przyjacielu, to nie Almy głos, — o nie, nie, to nie była obłąkana, — prędko, chodź ze mną, — musimy wyszukać."

„Zawołaj służących, niech wyniosą lampy," odrzekł szybko hrabia Teodor, „widzisz przecież, że ciemno i nic zobaczyć nie można bez światła."

„Walenty, — Walenty, — lampy, — świecę, — w naszym ogrodzie coś niezwykłego się dzieje, prędko, zwołaj służbę, niech szukają!"

W minutę później ukazało się kilkanaście latarni, zaspane i przestraszone twarze służby widać było przy świetle. Walenty na przodzie przystąpił do hrabiego Zygmunta, podając mu wielki świecznik, który dokładnie oświecał drogę.

„Po cichu stąpać," rozkazał Zygmunt, „i ani słowa, musimy dobrze natężyć uszy, może się ten jęk powtórzy jeszcze."

Cała ta kalwakada poruszała się po cichu w gorączkowem naprężeniu po ścieżce, alei tujowej, skręcając do drogi prowadzącej do małego pawilonu.

Pomiędzy służbą, która się zleciała na pierwsze zawołanie hrabiego, znajdował się również Alfred Robber.

On także niósł latarnię i właśnie chciał się wysforować przed innych, aby iść przodem, potknął się jednak przytem o jakiś korzeń i o mało co nie upadł.

„Co wam takiego?" spytał Zygmunt prawie z gniewem, „nie chcę przypuścić żeście pijani?"

„Pijany, — ja? — Proszę wybaczyć, panie hrabio, ale ja nie piję nigdy. Ale jeżeli się wstanie przestraszonym z pierwszego snu, który zawsze jest najsilniejszy, nie dziwota, że się potem jest niepewnym swych nóg."

„Już dobrze," odezwał się Zygmunt, czyniąc sobie w duszy wyrzuty, że rzucił takie niesprawiedliwe podejrzenie na tak zasłużonego sługę.

Nagle przystanął hrabia Teodor i skinął ręką na Zygmunta, by, tenże się zatrzymał, wskazał na prawo, skąd znowu słychać było słabe jęczenie.

„Tam, tam, gdzie ten wielki dąb," zawołał Zygmunt ze wzruszeniem, „tam musimy szukać!"

Nikt nie zdołał go wstrzymać.

Nie czekając, czy pójdzie za nim któryś służący, czy nie, popędził naprzód. Ale zaledwie poskoczył ze dwadzieścia kroków, zakrzyknął nagle, — tuż u podnóża grubego pnia ujrzał jakąś ciemną leżącą postać.

Zygmunt potoczył się, potarł oczy palcami, — strasznie bolesny wrzask wydobył się z jego piersi, — czuł, że oszaleje, — pomimo tego musiał uwierzyć w to, co mu oczy pokazywały, — tak, — tam na grządce z kwiatami leżała ona, — ta sama powabna, kochana istota, której przed paru godzinami czynił jeszcze wyznanie miłosne, którą pieścił w swoich ramionach, — ta sama, od której spodziewał się szczęścia w swojem drugiem odmłodzonem życiu, — ona, — Elza, — Elżutka Rodeń!

Łkając głucho upadł Zygmunt tuż przy nieszczęśliwej na kolana, mimo, że nie wiedział, co się właściwie stało młodej dziewczynie, dusza jego przeczuwała już jakieś straszne nieszczęście.

„Zemdlała, — leży bez pamięci, — Elzo, — Elżutko, powstań, — przyjdź do siebie!"

W tej samej chwili uczuł Zygmunt, że ręce jego są mokre, skurczył je mimowoli z okrzykiem przerażenia, podniósł palce do góry do światła, tuż przed oczy i przy płowym blasku księżyca ujrzał, że są czerwone, zakrwawione krwią serca biednego nieszczęśliwego dziewczęcia, które leżało tutaj bez ruchu.

„Zabójstwo!" zakrzyknął Zygmunt następnej chwili strasznym głosem, „gwałtu, ratujcie, — na pomoc, — tutaj, — tutaj, — ktoś zamordował Elzę Rodeń!"

Głos jego rozchodził się głucho po wielkim ogrodzie. Hrabia Teodor, Walenty, Alfred Robber i wszyscy inni służący pobiegli teraz również spiesznie i w kilka sekund prawie cała ludność zamku otoczyła bladą, bez ruchu leżącą Elzę.

Okropny, śmiertelny strach owładnął wszystkimi, — żaden nie ośmielił się przemówić, — zabójstwo w zamku Sokolskich, — morderstwo w tym spokojnym domu, w którym coś podobnego było prawie wykluczonem, — ach, nie do uwierzenia, — ta straszna rzeczywistość ubezwładniła wszystkich.

„Ona zamordowana!" wykrztusił ze siebie z trudem hrabia Zygmunt, chwytając ją za rękę i pragnąc rozgrzać tę maleńką, bledziutką, biedną, już prawie zimną rączkę w swojej gorącej dłoni, „jakiś przeklęty morderca wbił jej nóż w piersi, — widzicie, widzicie, — właśnie wydobywa się krew z rany, — ha, nie stójcież tak milcząco, — spieszcie, biéżcie po lekarza, — lekarza powiadam, — ratujcie mi ją, uratujcie, a bierzcie choćby cały mój majątek."

Kilku służących puściło się w pogoń, ale Alfred Robber pogonił również za nimi, wołając:

„Stójcie, — chcecie piechotą do miasta, — ja sam przyprowadzę lekarza, zaraz osiodłam sobie konia i pojadę do miasta."

Zygmunt skinął tylko ręką, to miało znaczyć, że zgadza się z tym projektem Alfreda Robbera. Szybko oddalił się morderca, rzucając jeszcze jedno drwiące spojrzenie na swoją ofiarę. Nie wątpił w to ani chwili, że pomoc lekarska przyjdzie zapóźno, zresztą postara się o to, aby lekarz nie przybył tak zaraz na zawołanie.

Zygmunt oparł głowę Elżutki na swoich kolanach, — gorące łzy zapełniły i zasłoniły mu oczy, nie był zdolnym ani słowa wydobyć ze siebie, straszne konwulsyjne łkanie wstrząsało nim całym.

Hrabia Teodor Zamski rzucił się także tuż obok nieszczęśliwej, pomimo, że poznał ją dopiero dzisiejszego dnia i to tak krótko tylko, nie mogąc się powstrzymać od boleści na widok tego pięknego, podciętego kwiatka.

„Co tu się dzieje?" zawołał nagle jakiś głosik, „na Boga, — gdzie mój ojciec, krzyczą coś o jakiemś morderstwie po całym domu, — co to ma znaczyć, — gdzieś ty mój ojcze, — mój drogi tatko?"

„Ach, Lolu, moje dziecko," zakrzyknął Zygmunt, „popatrz, zamordowano ją, — ja wiem, i tyś ją lubiła, — i ty będziesz ją opłakiwała."

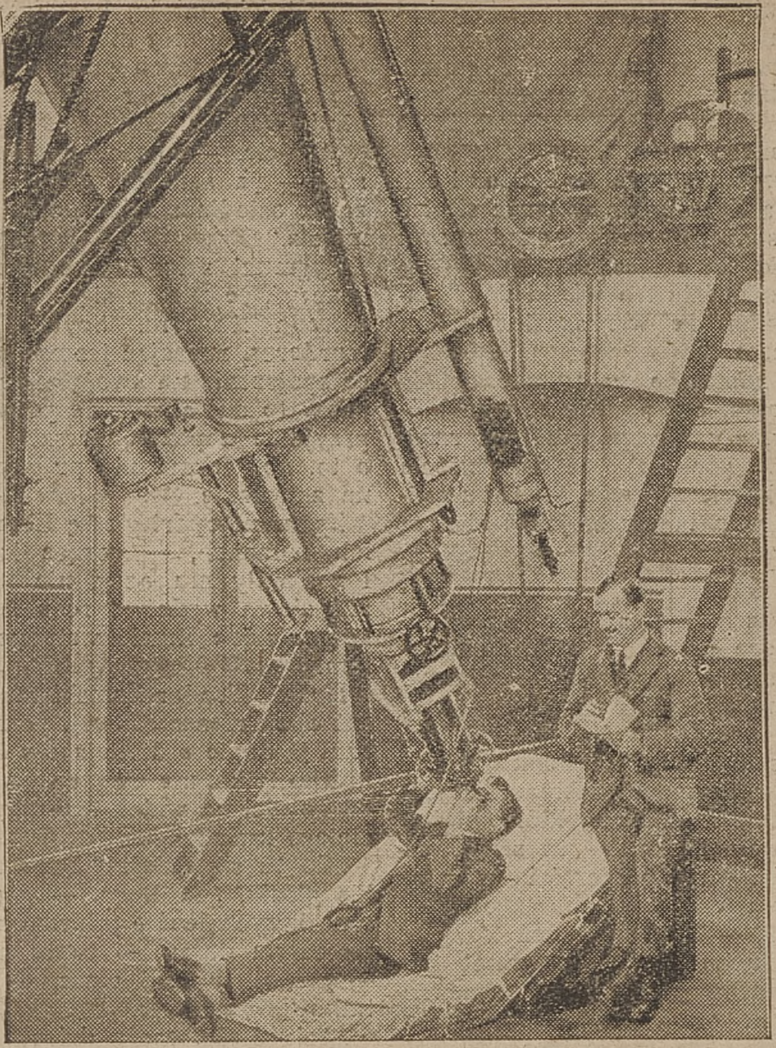
Piękna komedjantka rzuciła się z dobrze udanym okrzykiem przerażenia na ciało Elżutki, — podniosła jej rękę i poczęła ją całować i oblewać łzami, — wołając słabym głosem:

„Zamordowana, — tak, nikczemnie zabita, — ach, przekleństwo temu bezecnemu mordercy, który mi wydarł najlepszą przyjaciółkę, choćby to był nie wiem kto, przeklinam go, niech nie zazna więcej spokojnej godziny w swojem życiu. — Zbudź się, Elżutko, ja cię przecież kochałam jak rodzoną siostrę, — ach, odpowiedz mi przecież!"

Ale cóż to było, — dotychczas zdrętwiałe ciało nieszczęśliwej, które bez ruchu leżało na ziemi i ani znaku życia nie dawało, skurczyło się nagle, — zdało się, że głos Loli przywrócił je jeszcze raz do życia. — Pojedyncze członki poczęły drżeć, — wreszcie podniosły się powoli ciężkie powieki i odsłoniły oczy zamglone już kirem grobowym.

„Cicho," zawołał Zygmunt, „bądźcie cicho, — ona żyje, — przychodzi do przytomności, — ach Boże. Najwyższy w Niebiesiech, ja błagam Ciebie, bądź miłosiernym i zachowaj to życie dla mnie! Jeżeli jednak inaczej postanowiłeś i Twoja wszechmądrość orzekła, że ma umrzeć to biedne dziecko, pozwól przynajmniej, aby choć na jedną chwilę wróciła jej przytomność, aby mogła tylko wymienić nazwisko tego, który to mordercze ostrze wpakował jej w piersi, — tak, imię zabójcy niech wyszepna przynajmniej te blade wargi!"

Bardzo nisko pochylił się Zygmunt aż do ust Elżutki, tak, że czuł jeszcze



Zapomocą tego oto teleskopu w sławnym obserwatorjum astronomicznem w Greenwich (Anglja) wykryto nową gwiazdę, która jednakże wpierw zaobserwował pewien astronom-amator.

— sztylet, — ach, to zimne żelazo w mojej piersi, — moja krew, — Kazimierz Zamski mój morderca, — ach, strzeż się przed nim, Zygmuncie, — strzeż się sam i strzeż twojego dziecka!“

Ostatnie słowa brzmiały słabo jak brzęczenie muchy, — znowu zemdlała, — głęboki sen bezprzytomny ujął ją w swe skrzydła.

Napróżno rzucał się stary hrabia Teodor jak zraniony tygrys, potrząsając nią i chcąc ją wszelkiemi środkami przyprowadzić do przytomności, — napróżno krzyczał boleśnie w swej dzikiej rozpaczy:

„Nie prawda, Elzo Rodeń, to nie prawda, — mój syn nie może być mordercą! — O, biada mi, — co za straszna skarga, — a jednak —“

Zygmunt położył głowę Elzy na kolana Loli i podniósł się, — na jego bladych policzkach zajaśniały dwie czerwone plamy, — oczy poczęły rzucać błyskawice.

„Obsadzić mi cały ogród“, rozkazał służbie ostrym, stanowczym głosem, „pilnować mi wszystkich wyjść ze zamku, nikogo nie wypuszczać, — a przeszukać dokładnie cały park, — może będzie można jeszcze schwytać mordercę“.

Służba rozleciała się na wszystkie strony, — cały park ożywił się, — latarnie migały jak błędne ogniki przez liście drzew, po trawie i po klombach, — Zygmunt stał jeszcze ciągle niby kamienna statua z podniesioną prawicą, — zdał się aniołem mścicielem, trzymającym miecz ognisty w ręku, gotów rozpłatać głowę winnego.

Hrabia Teodor znieruchomiał również. Klęczał tuż obok Elzy i wpatrywał się szeroko rozwartemi oczyma w jej bladą twarz i zamknięte powieki.

Czyż było to możebnem, aby ta powabna istota, która tak dobre wrażenie wywarła na nim, stała się oskarżycielką jego syna, — i co za straszną skargę podniosła przeciwko niemu! Jako mordercę okrzyczała jego jedynaka, jako skrytobójcę!

Ach, hrabia Teodor nie wątpił ani chwili, że tu jakieś nieszczęsne nieporozumienie gra rolę. — Jakżeżby to inaczej dało się pogodzić, aby Kazimierz tak znakomity, pełen przymiotów młodzieniec, hrabia Zamski, mógł upaść do roli skrytobójcy?

Ależ to zniknięcie Kazimierza, ta tajemnica, jaką się już od czterech tygodni osłaniał, — hrabiemu Teodorowi skurczyło się nagle serce, jakby kleszczami w piersiach ściskane. To nie pierwszy raz by się wydarzyło, że młody mężczyzna zaślepiony szaloną miłością, powodowany straszną zazdrością, popełnił zbrodnię. Ach, takich wypadków dosyć by można znaleść w sądowych sprawach karnych, a przecież, — tutaj rozchodziło się o jego syna, — nie, on nie był zdolnym do takiej zbrodni!

„Oni go szukają“, zamruczał hrabia uśmiechając się wzgardliwie, „ale tutaj w zamku go przecież nie mogą znaleźć, już z tej prostej przyczyny, że Kazimierz nie mógł tej nocy wejść do zamku“.

Ale w tej samej chwili zrobił się jakiś hałas, — dzikie wrzaski rozlegały się od strony pawilonu, — właśnie, zabrzmiał młodzieńczy głos męski, który z najwyższem rozdrażnieniem wołał:

jej słaby oddech, poczem zapytał łzami stłumionym głosem:

„Elzo Rodeń, oto przyjaciele naokoło ciebie, — leżysz w moich ramionach, — nie bój się niczego, powiedz tylko prędko, kto, — kto wbił ci nóż w piersi, — kto się poważył przeciąć nić twego żywota, — kto jest tym przeklętym mordercą, który się śmiał tu wślizgnąć do zamku i wyciągnąć rękę z morderczem żelazem na ciebie?“

Cisza panowała w całem otoczeniu, nic nie było słychać, tylko łagodny szelest liści, kołysanych słabym wiatrem nocnym.

Drzewa wydawały ze siebie swoje ożywcze zapachy i księżyc przeglądał się w kałuży krwi tuż obok, gdzie początkowo leżała biedna Elżutka.

Nagle zatrzęsła się Elza, jakby jakimś nadludzkiem wysileniem chciała się wyprostować, — widać było, że zbierała wszystkie siły, jakie jej jeszcze pozostały z resztką krwi w ciele, chcąc zadośćuczynić życzeniu hrabiego Zygmunta; — szeroko rozwarły się jej oczy, — usta otwarła z wysiłkiem, — jakby słaby powiew wiatru wydobył się z jej warg:

„Moim zabójcą, — on jest —“

Nowa niemoc zdawała się ją ogarniać, — osłabiona zsunęła się powtórnie w objęcia Zygmunta, ten jednak podtrzymał ją silnem ramieniem, podniósł jej głowę, wołając błagalnym głosem:

„Powiedz, powiedz, jak się nazywa twój morderca?“

„Mój morderca, — on się nazywa, — hrabia Kazimierz Zamski!“

„Elzo, co za straszne oskarżenie, — twoim mordercą ma być, jak powiadasz, — hrabia Kazimierz Zamski?“

„Hrabia Kazimierz Zamski!“ wypowiedziała Elza powtórnie i padła zemdlona w ramiona Zygmunta.

„Hrabia Kazimierz Zamski?“ zakrzyknął przerażony Zygmunt, „czyż to prawda, czyście także słyszeli to nazwisko tak, jak i ja. Ha ha, to niemożebne, ta biedna musiała majaczyć w gorączce!“

„Tak, to wizja, — wskutek nadchodzącej śmierci“, wyrzekł hrabia Teodor. „Ostatniego widziała mnie, jam z nią niedawno rozmawiał, a ponieważ przedstawiłem się jej jako hrabia Zamski, więc imię to usłyszane bezpośrednio przedtem zmieszało się z wizjami gorączki“.

„O nie, nie, to nie może być!“ odparł Zygmunt, „wymieniła przecież wyraźnie imię Kazimierza, — słyszeliście wszyscy dobrze, — a to inne imię, mój przyjacielu, — jakkolwiek nieprawdopodobieństwem się to zdaje i niktby się nie odważył twojego syna z tą nieszczęsną aferą w związek wprowadzić, jednak, — ale cicho, — ona się znowu podnosi, — Elzo! Nie umieraj rzuciwszy takie strasz ne podejrzenie na niewinnego, — powiedziałaś przecie, że hrabia Kazimierz Zamski jest twoim mordercą, — czyż to rzewiście prawdą?“

„Tak, on, — syn hrabiego Teodora!“ wykrztusiła śmiertelnie zraniona, „odrzuciłam jego miłosne zwierzenia, — spotkałam go w pawilonie, — chciałam się poskarżyć przed jego ojcem, — a,

„Puszczajcie mnie, — czego wy chcecie odemnie, — biada temu, który ośmieli przybliżyć do mnie, — ja jestem hrabia Kazimierz Zamski, a nie złodziej lub rabuś, za jakiego mnie prawdopodobnie trzymacie!“

Hrabia Teodor osunął się bezsilny na ziemię, — ukrył twarz w rękach, — w tej chwili postarzał się o dziesięć lat.

Zygmunt zadrżał także, jakby strzałą trafiony, a na jego szlachetnem czole osiadł cień głębokiej litości, ale już w następnej chwili zawołał stanowczym i donośnym głosem:

„Cokolwiek to za jeden, kogoście tam znaleźli w pawilonie, nie puszczać go, — on zakradł się do mojego domu, a więc chwytajcie go i prowadźcie tutaj!“

W pawilonie rozgrywała się widocznie gorąca walka, ale ponieważ zebrało się tam około dziesięciu służących, więc wynik jej nie był nikomu wątpliwym.

W kilka minut później ujrzał Zygmunt że służba wlecze jakiegoś młodego mężczyznę; — ciągnęli go przemocą po żwirze ścieżki, a on targał się z całej siły chcąc wyzwolić swe ręce z ich uścisków.

Właśnie przyciągnęli go w okrąg światła. Schwytany począł wołać drżącym głosem:

„Ach, — moje serce powiada mi, że tam stoi hrabia Zygmunt Sokolski, — przyjaciel mojego ojca, — ach, teraz już dobrze, — to musi się wyjaśnić to jakieś dziwne nieporozumienie!“

„Hrabio Kazimierzu Zamski“, dało się słyszeć z ust właściciela zamku, „a więc to pan, ty nieszczęsny młody człowieku — tyś rzeczywiście we własnej osobie, — widzisz tutaj na ziemi leży twoja ofiara, — biedna dziewczyna, którą zamordowałeś, a obok niej klęczy ktoś inny, na którego widok padniesz jakby piorunem rażony!“

Pomału podniósł się hrabia Teodor, ręce opadły mu z oblicza, — gorączkowo rzucił wzrokiem w stronę zaczerwienionego więźnia, którego ręce trzymało kilku ze służby jakby obcęgami, poczem zabrzmiał bolesny okrzyk po całym ogrodzie, jakby serce mu pęknąć chciało.

„Mój syn, — tak to mój syn!“ zajęczał starzec.

„Ojcze, — mój ojcze!“ zawołał Kazimierz pełen radości i uciechy, „wreszcie oglądam ciebie znowu, — ach, w twoje ramiona, mój ukochany ojcze, — na twoją pierś, — teraz nie śmiecie mnie dłużej trzymać. — Dałem się wam związać i pokonać, dopóki byłem samotnym, — ale teraz, — teraz czuję siłę za dziesięciu, — precz odemnie, — precz, powiadam, — syn hrabiego Zamskiego nie pozwoli się więzić!“

Służący odpadli na strony jak poobtrząsane gruszki, — w następnym momencie podbiegł młody, rozpromieniony mężczyzna do swojego ukochanego ojca, ale okrzyk bolesny zadziwienia wydobył mu się mimowoli z ust.

Zimne jak stal spojrzenie z óczu ojca trafiło go i przeniknęło na wskroś, — spojrzenie pełne pogardy i przerażenia, — poczem z tych samych warg, z których zwykł, był słyszeć tylko słowa miłości i wylania zagrzmiał straszny wyrzut:

„Nędzny morderco, ja nie chcę cię znać!“

Hrabia Teodor odwrócił się i pokroczył ze spuszczoną siwą brodą na piersi i z pochyloną głową w kierunku terasy. Zanim się Kazimierz miał czas ocknąć z przerażenia zniknął starzec w głębi budynku.

XXIV.

Napowrót w świecie!

Aby naszemu kochanemu czytelnikowi wyjaśnić, w jaki sposób Kazimierz Zamski znalazł się w owej krytycznej, nieszczęsnej nocy w zamku Sokolskich, musimy powrócić do zakładu doktora Morizano, — nazad do elegancko umeblowanego pokoiku, w którym baronowa Arabella w tak zajmujący sposób więziła młodego mężczyznę.

Nie przeczuwał biedak, że znajduje się w owym strasznym zakładzie dla warjatów, — był święcie przekonanym, że jest w szpitalu u św. Elżbiety, — naturalnie całe otoczenie, umeblowanie pokoju i inne szczegóły utwierdzały go w tem przekonaniu.

Przecież nie było tam tych pustych brudnych sal zakładu, kaftan bezpieczeństwa nie krępował mu swobodnych ruchów, — nie było dozorcy ze wstrętnem, pijackiem obliczem, — dzikie wrzaski nie rozlegały się co chwila złowrogo po głuchych korytarzach, — o nie, — przeciwnie w tym spokojnym zakątku panowała cisza i błogi spokój. Kiedy otworzył oczy, aby się podnieść na chwilę widział tylko siostrę Esperandę, swoją wierną, troskliwą opiekunkę, jak na palcach suwała się po cichu po pokoju, aby tylko nie zbudzić chorego.

Tego samego wieczoru, w którym odegrał się w zamku Sokolskich ten straszny dramat znany już naszym czytelnikom z poprzedniego opisu, leżał Kazimierz Zamski na swojem łożu z głową opartą na dłoni i zatopił się zupełnie w swoje czarne myśli. Czuł się strasznie nieszczęśliwym.

Co to miało znaczyć, że ta dziwna słabość nie ustępowała, że się tak bardzo długo ciągnęła? Czyż było to może wykluczonem, aby kiedykolwiek wyzdrowiał?

Wiedział, że jakaś dziwna słabość krępuje mu członki, ale co za słabość nie miał pojęcia. Lekarz, który codziennie przychodził do niego, badał go i zapisywał mu lekarstwo, nie mówił prawie ani słowa, — od niego nie mógł się dowiedzieć, co mu właściwie brakuje.

Co najważej zbył go jednem zdaniem:

„Pan hrabia przeszedł ciężką febrę nerwową, ale teraz lepiej, obecnie jesteś pan na drodze do wyzdrowienia, ale, że sił panu brakuje, nie może pan myśleć o wstaniu z łóżka lub opuszczeniu szpitala“.

Odchodził co prędzej, nie chcąc się dalej wdawać w rozmowę z pacjentem i pozostawiał Kazimierza w rozstroju ducha, w braku pociechy.

Ha, gdyby Kazimierz był w stanie domyśleć się, że lekarz ten, to tylko kreatura doktora Morizano, — dozorca ubrany w lepsze suknie z fałszywą brodą i peruką na głowie, — wówczas, — ha, wówczas dawnoby znalazł drogę do



W sezonie zimowym odbywają się ćwiczenia gimnastyczne w salach gimnastycznych. Na zdjęciu wesoła lekcja młodych sportsmenek.

wyjścia, — ale w obecnym stanie wierzył, że to lekarz starszy szpitala św. Elżbiety, ufał mu i ufał siostrze Esperandzie, której pieczołowitość poznał dokładnie i o której był przekonanym, że poświęca się dla niego i odmawia sobie snu, aby tylko każdej chwili dnia i nocy być przy nim, spieszyć mu z usługą. Ona podawała mu posiłek, przyrządzała lekarstwa, bawiła go rozmową, całemi godzinami przesiadywała na kraju jego łóżka, nawet gdy zasnął, nie odstępowała go ani na krok.

Tylko jednej rzeczy nie umiał sobie Kazimierz wytłumaczyć, jedno było mu zagadką, dlaczego nie spuszczała nigdy białego welonu, który zasłaniał jej połowę twarzy, dlaczego nie mógł jej oblicza widzieć?

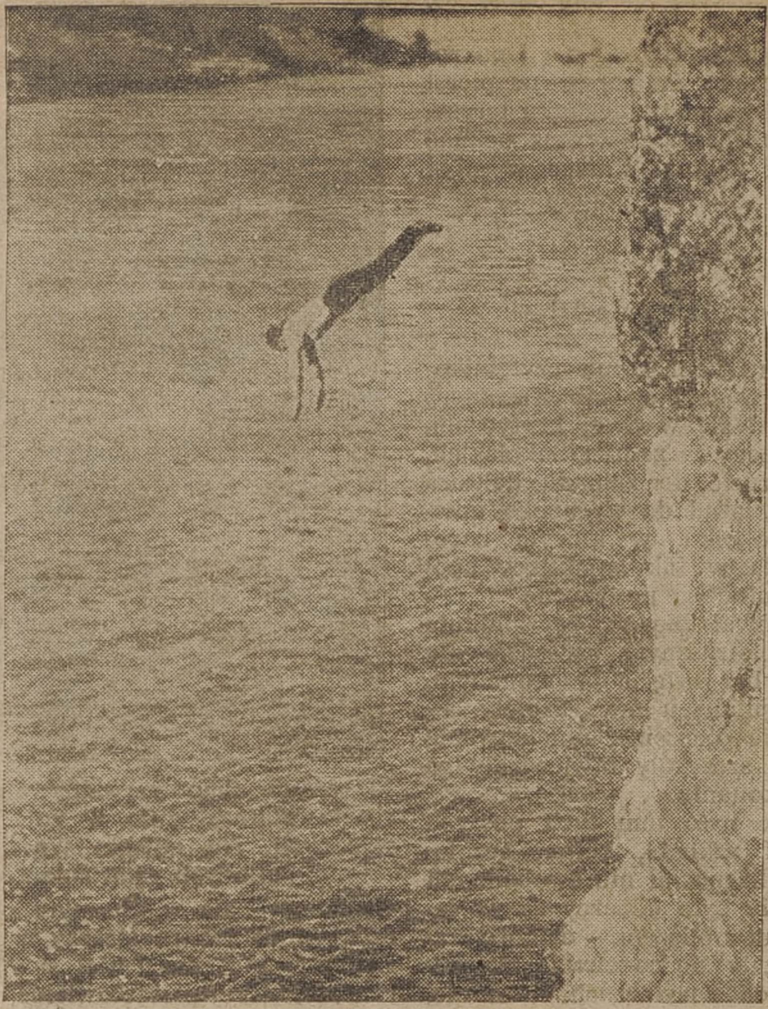
Kiedy jednego dnia zapytał ją o to, odpowiedziała mu poważnie:

„Jestem siostrą zgromadzenia Elżbietanek, nasza reguła zakazuje nam surowo odsłonić twarz przed mężczyzną. Podczas pielęgnowania chorych nie możemy wprawdzie zupełnie się zakwefiać, ale przynajmniej ten gęsty biały welon musimy nosić pod czepkiem, — jako siostra jestem obowiązaną wykonywać przepisy i nie mogę wbrew nich postępować.“

Taką odpowiedzią musiał się naturalnie Kazimierz zadowolić, — nie chciał poczciwej pielęgniarki obrażać nowemi, ciekawemi pytaniami lub może wątpliwością, ale teraz właśnie, kiedy tak leżał zadumany, wydała mu się owa rzekoma reguła zakonna ogromnie dziwną.

Do tego zaprzątał jego myśl już od kilku dni nieustannie jeszcze jeden szczegół nad którym daremnie łamał sobie głowę.

Czuł dobrze, że lekarstwo, które mu podają, wywołuje u niego nieprzezwyciężoną chęć spania. Czyż byłby w niem jakiś środek na sen? To przecież nie mogło być zbawiennem dla chorego, że się go przemocą w nienaturalny sen wprowadzało.



Trudnego zaiste skoku dokonał, podczas nagrywania filmu, jak widzimy na naszem zdjęciu, znany aktor filmowy, Joe Bonomo, który skoczył w morze ze skały z wysokości 28 m w Los Angeles, w chwili, gdy przypływ morza uderzał falami o jej podnóże.

A właśnie w tym punkcie była siostra Esperanda nieugiętą. Obstawała przytem całą siłą, aby słaby każdego dnia nad wieczorem zażył to lekarstwo. Zaledwie jednak uczynił jej woli zadość, poczęły mu ciężyć powieki, dziwna niemoc ogarniała go i wpadał w głęboki, ciężki sen, który trwał aż do rana.

A dlaczego nie odpisywał mu ojciec? Musiał już przecież dawno dostać jego list, — on znał pod tym względem aż za dobrze hrabiego Teodora Zamskiego, on nie zwlekał nigdy ani chwili w odpisywaniu, zresztą dowiedziawszy się o jego chorobie pospieszyłby niezawodnie do łoża swego ukochanego jedynaka, wiedząc, gdzie on się znajduje.

Dlaczegoż więc nie przyjeżdżał? — Prosił go zresztą gorąco o uwolnienie Anielci ze zakładu obłąkanych; — miałżeby mu tej prośby odmówić?

Doprawdy, tego było już trochę za wiele, — leżał przecież tutaj od kilku tygodni, odcięty zupełnie od świata, nie dozwolono mu nawet czytać gazet, z których mógłby się przecież czegoś dowiedzieć, co się dzieje w świecie; siostra Esperanda powtarzała mu zawsze to jedno, że lekarz zabronił mu wszelkiego czytania.

W ten sposób wyrobiła się w Kazimierzu głęboka melancholja, zarazem pewne niedowierzanie, które wskutek dziwnego szczegółu, jaki się tego wieczora wydarzył, jeszcze więcej się spotęgowało.

Już słyszeliśmy, że siostra Esperanda, — w rzeczywistości Arabella, — nie opuszczała ani na chwilę chorego, — pielęgnowała go i strzegła zazdrosnem okiem, która nie chce się z nikim innym dzielić widokiem swego ideału.

Jeżeli była zmuszoną, wydalić się na jakiś czas z pokoju, zamykała zawsze drzwi starannie na klucz, aby, — tak przynajmniej Kazimierzowi starała się wytłumaczyć, — nikt nie przeszkadzał mu i nie wchodził nieproszony do środka.

Młody hrabia nie mógł obronić się od uczucia, że jest traktowanym jako więzień, tembardziej, że już kilka razy prosił siostrę Esperandę, aby była tak dobrą, przysłać mu dyrektora szpitalu św. Elżbiety, ponieważ chciał z nim pomówić, ale zawsze nowe wykręty i wymówki zjawiały się, które miały upozorować nieprzyjście tegoż.

W tej chwili był Kazimierz znowu samotnym. Arabella opuściła pokój, zamknąwszy drzwi na klucz; widocznie bała się o swego pięknego więźnia.

Nagle usłyszał Kazimierz jakieś pukanie tuż pod swojem łóżkiem. Z początku myślał, że go słuch myli, ale po baczniejszem nadsłuchiwaniu przyszedł do przekonania, że rzeczywiście ktoś puka tuż pod nim.

Prędko wyskoczył z łóżka i schyliwszy się, popełzał pod nie, — nie zdołał jednak odkryć niczego nadzwyczajnego.

Nagle usłyszał wyraźnie jakieś drapanie i głuchy szelest, — zauważył, że jeden kawałek podłogi porusza się, powoli ku górze.

Kazimierz przeraził się z początku, pierwszą myślą jego było, że zakradł się tam jakiś złodziej, które chce się dostać do pokoju, ale równie prędko, jak prędko powstała w nim ta idea, odrzucił ją od siebie. Musiał się sam uśmiechnąć nad swoim błędem, bo cóżby szukał złodziej w pokoju szpitalnym?

To jedno było mu jasno, że tuż pod nim znajduje się także jakiś pokój, w którym mieszka jakaś ludzka istota, która trzymana w uwięzi stara się widocznie wydobyć ze swojej nory i pragnie się może z nim porozumieć.

Kazimierz nie ruszał się. Leżał na kobiercu i śledził bacznie to miejsce w podłodze, które jednakowoż powoli w pierwotne swe położenie zostało wciągnięte.

Ciekawy był, czy pukanie się powtórzy i czy ów jakiś więzień spróbuje powtórnie uchylić tego wycięcia, które może ćwierć metra kwadratowego mogło wynosić?

I oto, — ponowne parcie, łamanie i trzask, — kawałek podłogi odleciał na bok, — otwór ukazał się wyraźnie.

Następnej chwili zjawiła się w otworze jakaś chuda, niebieskiemi żyłkami znaczona ręka.

Kazimierz opanował już swój pierwszy przestrach. Chciał się koniecznie dowiedzieć, do kogo należy ta ręka, co za nieszczęśliwy więzień chce w ten sposób wydostać się na wolność. — Cichym głosem spytał:

„Kto tam? Kto wyłamuje tutaj podłogę niby podziemny kret? Jeżeli to jakiś nieszczęśliwy więzień, — niech się nie obawia i zwierzy mi, bo jestem również biednym o podobnym losie".

Ręka wzniosła się do góry. Całe ramię wysunęło się z otworu, tak że można było poznać, że to jakaś kobieca ręka.

Prędko podniósł się, postanowił po cichu usunąć nieco łóżko, aby się mógł z uwięzioną lepiej porozumieć.

Jeszcze ciągle sterczała ręka w otworze, już zbliżał się ostrożnie i na palcach do wyłamanego miejsca, kiedy nagle ramię znikło, usłyszał jakiś straszny krzyk tam na dole, poczem zapanowała znowu cisza, — cisza śmiertelna.

Wpatrzył się w ciemny otwór, z bijącem sercem wsłuchiwał się przez parę minut, niewiedząc, czy zjawisko się nie powtórzy, ale nic nie było słychać. Cisza grobowa zaległa wokoło. Nie umiał sobie inaczej wytłumaczyć tego dziwnego zdarzenia, jak, że jakiś biedny więzień został schwytanym na gorącym uczynku przez dozorców.

Prędko wcisnął wyłamany kawał w podłogę, przysunął łóżko i rzucił się na nie z pośpiechem, bo właśnie usłyszał kroki zbliżającej się swojej piastunki i obracanie się klucza w zamku.

Był tak zdenerwowanym, że drżał jak liść osiki. Gdyby nie to, że zarzucił kołdrę aż po samą brodę, musiałaby wchodząca siostra niezawodnie rozpoznać, że drży na całem ciele.

Ta ręka, — to ramię! — przebiegało mu ze szybkością błyskawicy po głowie, — ten straszny krzyk, — to przecież niepodobna, aby takie rzeczy działy się w szpitalu, jeszcze do tego w pierwszorzędnym zakładzie św. Elżbiety! Tam nie trzymają słabych pod ziemią i żadnemu słabemu nie przyszłoby do głowy wyłamywać się przemocą. To były szczegóły przypominające mu żywo zakład obłąkanych doktora Morizano.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Tajemnice Wenecji

(Przekład z francuskiego) (69)

— Ojcze mój — ukląkłszy przy starcu, zawołała Edyta. — Jestem przy tobie. Cóż nie poznajesz twojej Edyty?

Starzec otworzył oczy.

— Wyniesiemy cię stąd, kochany ojcze. Czy będziesz mógł powstać przy naszej pomocy?

— Już późno... — rzekł admirał — idą! To Bikok na czele swoich oddziałów! Gdzie pustelnik? Umarł? On także!...

I znów zamknął oczy. Znów leżał, pogrążony w pierwotnej apatji.

Edyta płakała.

Laureta z współczuciem spoglądała na admirała i na jego córkę.

— Siły go opuściły — rzekła po chwili. — Będziemy zmuszone przenieść go.

— Ukryjecie go u siebie, Laureto?

— Rozumie się!

— A więc do dzieła! Bóg niechaj nam dopomaga!

Obie kobiety podniosły starca i uginając się pod ciężarem, wyszły ze starej wieży, nie zamknąwszy za sobą drzwi. Niebawem wniosły admirała do nowej wieży; strażnik drzemał na szczycie i nie widział przybyłych. Za chwilę admirał leżał na łóżku w izbie Laurety.

Edyta przekonała się, że oddychał, słyszała słabe bicie serca. Nadzieja powróciła.

Laureta przyniosła wina, będąc przekonaną, że napój ten, zmięszany z wodą, orzeźwi starca.

Edytę niepokoiła myśl o strażniku, w ciągu całej jednak nocy nie zeszedł ze swego stanowiska.

Admirał połykał wodę zmieszaną winem, napój ten przywracał mu siły.

— Dajcie mi tego dobroczynnego płynu — rzekł słabym głosem.

Uspokoiwszy pragnienie, admirał zamknął oczy i usnął. Edyta i Laureta siedziały przy jego łóżku, zachowując możliwą ostrożność, aby nie przebudzić śpiącego. Nareszcie upłynęła noc i zaświtał poranek.

Nagle kobiety usłyszały głosy ludzi, zbliżających się do wieży.

Wkrótce potem rozległy się stukania.

— Otwórzcie — zawołał głos jakiś — W imieniu prawa. Jesteśmy żołnierzami.

Edyta zadrżała; czego mogli chcieć żołnierze tu o tak wczesnej godzinie? Obie nie wiedziały, co począć.

— Musicie otworzyć — szepnęła Edyta — w każdym razie do tej izby nie wpuszczajcie nikogo.

— Dobrze, signorino!

Tymczasem żołnierze wołali:

— Otwórzcie, albo wywalimy drzwi.

— Cierpliwości! — wybiegłszy do sieni zawołała Laureta. — Muszę się ubrać.

Za chwilę otworzyła drzwi.

Do sieni wpadł Amadeo i Jeronimo. Widocznem było, że przez całą noc bawili się bardzo dobrze.

— Gdzie jest strażnik? zapytał Amadeo.

— Mąż mój jest na górze — odrzekła Laureta. — Musi zagasić latarnię i przygotować wszystko na następną noc.

— Musimy mówić z nim — objaśnił Jeronimo.

— Zaraz go zawołam — odrzekła Laureta — a może pójdziecie na górę?

Żołnierze postanowili pozostać na dole.

Laureta weszła na schody, wiodące na szczyt wieży.

— Zejdź Ludovico — zawołała. — Czekają na ciebie dwaj żołnierze.

Wkrótce Ludovico zbiegł ze schodów i powitał żołnierzy.

— Hm, zdaje mi się, że znam was — rzekł. — Wszak dawniej byliście rybakami? Tak! Jeden z was nazywa się Jeronimo, drugi Amadeo.

— Oddawna już przestaliśmy być rybakami — objaśnił Amadeo. — Powiedźcie nam: nie widzieliście płynącej tej nocy galery?

— Nie widziałem — rzekł Ludvico.

— Zastanówcie się dobrze! — upomniał Jeronimo.

— Kto przysyła was do mnie? — zapytał strażnik.

— Kapitan Bembo, wskutek rozkazu prokuratora — rzekł Amadeo.

— A więc sam pojadę do Wenecji i złożę raport — rzekł Ludwico.

— Bardzo dobrze — szepnął Jeronimo. — Kiedyż pojedziecie?

— Za godzinę.

Żołnierze zadowoleni odpowiedzią, protekcjonalnie pożegnali strażnika i wyszli z wieży.

— Czy chcesz się przespać? — zapytała Laureta swego męża. — Może byłoby lepiej, gdybyś zaraz pojechał.

— Chciałbym spać godzinę, nawet dwie albo trzy; małe opóźnienie nie będzie mi przecież poczytane za winę.

Zmęczony strażnik zwrócił się do izby. Laureta zatrzymała go.

— Nie wchodź tam — szepnęła. — Signorina spoczywa w izbie; tu się połóż.

Ludovico zawsze był posłuszny swojej żonie; Natychmiast przygotował sobie posłanie i w sieni przespał się parę godzin.

Przebudził się o dziesiątej i nie okazując zamiaru wejścia do izby, pożegnał żonę i wyszedł z wieży.

Wkrótce Laureta widziała łódkę jego, szybko płynącą do Wenecji.

Teraz pospieszyła do Edyty.

— Jesteśmy same, signorino — rzekła — cóż teraz należy uczynić?

Edyta wskazała admirała.

— Wciąż śpi! — szepnęła.

— W takim razie niech pozostanie. Niema innego wyboru.

— Dziękuję! — szepnęła Edyta i serdecznie uścisnęła rękę dobrej kobiety. Potem uklękła przy łóżku starca i modliła się.

Laureta za przykładem Edyty, błagającej Boga o utrzymanie ukochanego ojca przy życiu, szeptała modlitwę.

ROZDZIAŁ XLVIII

Żegnaj Edyto!

Rodrigo uniknąwszy szczęśliwie niebezpieczeństwa, powrócił do domku Edyty, i ku wielkiej swojej boleści, nie zastał w nim swojej ukochanej żony.

Panował w nim zupełny porządek i nic nie zdradzało bytności zbirów.

Rodrigo przypuszczał, że żołnierze przechodząc koło domku, bez celu zajrzeli do niego i nie powrócą już więcej. W tem przekonaniu postanowił pozostać w nim i cierpliwie oczekiwać przybycia ukochanej, jakkolwiek nie miał pewności, czy zdołała ona ujść zbirom.

Minęło parę dni, Edyta nie powracała. Niepokój jego zwiększał się z każdą godziną; wieczorem pewnego dnia postanowił udać się do Wenecji, mając nadzieję, że tam zdoła zasięgnąć jakich wiadomości. Krok ten był bardzo śmiały, ale Rodrigo tłomaczył sobie, że nie łatwo poznają człowieka, którego oddawna uważają za zmarłego. Nie zwlekając już dłużej, napisał kilka słów, zawierających obietnicę rychłego powrotu, kartkę pozostawił na stole, a potem wyszedł z domku, przy brzegu wynajął gondolę i niebawem płynął na placyk Piazetta. Owinięty w czarny, obszerny płaszcz, w kapeluszu o szerokich skrzydłach, mocno nasuniętym na czoło, spodziewał się, że nie będzie poznany.

W tym czasie z pałacu dożów w skutek rozkazu kapitana Bema, wyruszył na wyspę San Nicolo oddział zbirów, spodziewając się, że może teraz zdoła pochwycić mieszkańców domku Edyty.

Zecco, Marco i Liugi należeli do wyprawy; nudziły ich już te częste wycieczki, nie przynoszące żadnych rezultatów.

— Gdybym wiedział, co należy uczynić aby nas nie posyłano do tego przeklętego domku, nie cofnąłbym się przed niczem — rzekł Zecco podczas podróży.

— To najgorsze, że podróże nasze nie odnoszą żadnych rezultatów — dorzucił Marco.

— Ja mam psie szczęście — zadecydował Liugi. — Nigdy nie mogę spać. Trzeba się włóczyć po całych nocach.

Łódź przybiła do brzegu. W celu zachowania ostrożności, żołnierze zatrzymali łódź w miejscu znacznie oddalonem od domku Edyty.

— Jeszcze za wcześnie — rzekł Marko — poczekajmy aż noc zapadnie zupełna.

Wszyscy zgodzili się na wniosek Marca.

Rodrigo zaś nie zasięgnąwszy żadnych wiadomości, powracał na wyspę San Nicolo.

Żołnierze nakoniec otoczyli domek Edyty. Zecco i Marco zapaliwszy latarnię, weszli do domku.

Nie znaleźli w nim żadnej żyjącej istoty. Pozostawiona tylko kartka na stole, bez podpisu wprawdzie, świadczyła, że domek ten jest niezamieszkały, że należało się spodziewać powrotu jednego z mieszkańców.

Wskutek tego żołnierze odeszli od domku i ukryci w pewnem oddaleniu, mieli go na oku.

Około północy ukazała się postać, dążąca do niego.

Wolny od wszelkich podejrzeń Rodrigo, spieszył do domku. Wszedłszy do izdebki, ujrzał pozostawioną na stole kartkę; dowodziło to, że ukochana jego małżonka nie przybyła jeszcze. Podszedł do okna, w nadziei, że może ujrzy Edytę. Może przybędzie niebawem? Promienie księżyca oświeciły stojącego w oknie Rodriga.

Nagle spostrzegł, że do domku zbliżały się dwie postacie. Skoro doszły do okna i spojrzały na Rodriga, cofnęły się. Niebawem ujrzał on, że żołnierze otaczają domek. Wiedział dobrze, że teraz nie zdoła się z niego wydostać, postanowił więc pozostać i bronić się do upadłego.

Co zaś do zbirów, dwaj z nich, Zecco i Marco, ujrzawszy w oknie stojącą postać, pragnęli dowiedzieć się, ktoby to mógł być. W tym celu zbliżyli się do okna. Jakiż jednak było ich przerażenie, kiedy ujrzeli dawno zmarłego Rodriga Zeni. Byli przekonani, że to był duch człowieka dawno wykreślonego z ksiąg żyjących.

Powróciwszy do oddziału mocno wzruszeni opowiedzieli całe zdarzenie.

— Głupstwo — zawołał Luigi. — Od pewnego czasu straciliśmy na odwadze. Rodrigo Zeni dawno nie żyje.

— A więc idź do domku i sam się przekonaj — odrzekł Marco.

Liugi poszedł do domku i ujrzał stojącego w oknie Rodriga. Powrócił do oddziału blady z przerażenia.

— No, cóż zobaczyłeś? — zapytał Zecco.

— Mam pewien plan — rzekł Liugi, nie zwracając uwagi na zapytanie kolegi. — Nie pozostaje nic innego, jak podpalić ten przeklęty dom. Przecież nie uchwycimy jego mieszkańca.

— A więc nie omyliłem się: to duch Rodriga — zawołał Marco.

— A więc podpalić dom — zawołał Liugi.

— Liugi ma słuszność — rzekł Marco.

— Raz na zawsze, pozbawiają się niepokoju — dorzucił Zecco. — Skoro dom zrównany z ziemią, skończą się nasze wycieczki na wyspę.

Wszyscy zgodzili się na podpalenie.

— Przystąpmy do dzieła — rzekł Liugi. — Do około domu porozrzucać kawały suchego drzewa i suchą trawę.

— A ja widzę tu beczkę ze smołą, zdaje się, że materjał ten będzie przydatny, — rzekł Marco.

Żołnierze z zapałem wzięli się do roboty. Dokoła domu ułożyli prawdziwy stos z suchego drzewa umaczanego w smole, a na to wszystko wrzucili znaczną ilość suchej morskiej trawy. Wszystkie te przygotowania spełniono cicho i szybko.

Niebawem zapalono trawę. Przed drzwiami i oknem nagromadzono palnych materjałów więcej niż w innych miejscach. Za chwilę wśród nocnych ciemności zajaśniał wielki płomień.

Rodrigo przygotowany do spotkania ze zbirami, wydobył z pochwy szablę, zdecydowany przeszyć nią zbira, który przestąpi próg domku.

Nagle ku wielkiemu przerażeniu ujrzał wzbijające się w górę płomienie.

W pierwszej chwili nie mógł sobie zdać z tego sprawę. Nie domyślał się, jak szatański plan uknuli siepacze. Ale pojął wszystko. Skoro wszedł do drugiej izdebki i przy samym oknie ujrzał płomienie. Nie wiedział co począć. Postanowił wyjść z domku, przedrzeć się przez ogień, szpadą utorować sobie drogę pomiędzy zbirami. Wiedziony tą myślą, pobiegł do drzwi wchodowych. Przybył za późno, ogień zajął już drzwi i całą drewnianą ścianę, górne wiązania stały już w płomieniach, słowem, wiedział, że nie zdoła się wyratować.

Straszny żywioł działał z błyskawiczną szybkością. Rodrigo usiłował wyskoczyć przez okno, lecz daremnie. Nieszczęśliwy nie mógł powrócić do izdebki, dym go dusił. Tracił przytomność.

— Żegnaj Edyto! — zawołał zdławionym głosem. Za chwilę upadł na podłogę.

W tej chwili na wieży strażniczej zabrzmiał dzwon. To strażnik, ujrzawszy pożar, dzwonił na alarm.

Siepacze przekonani, że nikt już nie zdoła ocalić domku, powracali do swojej łodzi.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

UŚMIECHNIJ SIĘ

Dla karjery

Pewien rabin warszawski zgłosił się do konsystorza oświadczając, że chce przyjąć chrzest. Gdy w urzędzie powstało zamieszanie, wyjaśnił, że wśród katolików jest dziś tylu żydów, że przyda im się rabin.

Za dobre karzą...

— Czy kto słyszał, aby ktoś cierpiał za to, że naśladował coś dobrego?

— O, tak. Fałszerz pieniędzy.

Przyzwyczajenie

Adaś i Janek to dwaj bracia. Razem chodzą do szkoły, śpią w jednym pokoju. Obydwaj są wielkimi leniuchami. Codzień trzeba ich budzić.

Pewnego ranka jeden z braci odzywa się do drugiego:

— Janek, jeżeli nas zaraz nie obudzą, to spóźnimy się do szkoły...

OGŁOSZENIA DROBNE

Wyraz 10 groszy. Dla poszukujących pracy 1 ogłoszenie do 10 słów tylko 50 groszy, do 20 słów 1,— zł, do 30 słów 1,50 zł i t. d. Należność przesyłać można w znaczkach pocztowych.

Wielu klientów znajdzie każda firma w prosty i tani sposób. Wśród setki tysięcy czytelniczek „Moich Powieści" są napewno klijentki wszystkich firm. Można do nich trafić za minimalną opłatą (wyraz tylko 10 groszy) przez „ogłoszenie drobne" w naszem piśmie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł. 2,85. Pod opaską miesięcznie zł. 1,50, kwartalnie zł. 4,50 Zagranicą 1,50 zł miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8. Telefon 32.

Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O Nr. 207.393.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł i td. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50%, zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50%. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca ALFRED KSYCKI — Redaktor odpowiedzialny MARJA ZEMMLERÓWNA — Drukarnia L. KSYCKIEGO w Żninie.